

Prenumerata wynosi:
Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk — 1 Rsb. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rsb. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8 Mrk. 3 Rsb. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rsb. 20 kop. Rocznie 16 kor. — 16 Mrk.— 7 Rsb. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.

Wychodzi każdej soboty

REDAKCYA I ADMINISTRACYA **KRAKÓW,** ZACISZE 7. Nr. TEL. 479.

Redaktor: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, Warszawa, Aleje Jerozolimskie 78.
Prenumeratę przyjmują Biura UNGRA w Warszawie, Wierzbowa 8 i Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi

Numer pojedynczy kosztuje 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok IV. | Kraków, 16 marca 1907. | Nr. 11.

Bomba na Saskiej Kępie.

(Treść na stronie 4).



Kraków — Orzeszkowej.

Po strasznych latach 1863/64 zawisł, dosłownie, nad całą Polską całun grobowy. Skutki tego szlachetnego porywu, na jaki się zdobyli Polacy, odbiły się nietylko na Królestwie i Litwie, ale także na dwóch innych zaborach. Podczas jednak, gdy Poznańskie korzystało wówczas ze względnej wolności, a w Galicyi zmieniły się wkrótce stosunki i to w sposób radykalny na naszą korzyść, tylko nieszczęsna Litwa i Królestwo spoczywały w cieniu szubienic Murawiewoskich i Bergowskich, a opływały krwią z ran świeżo zadanych.

Wówczas nie poddać się było rozpaczy, dać świadectwo, że żyjemy i żyć chcemy — to zasługa pokolenia z lat sześćdziesiątych, wśród którego swą owocną pracę rozpoczęła Eliza Orzeszkowa, dziś jubilatka po czterech dziesiątkach lat pracy na niwie literackiej.

Ogromne pogłębienie studyów nad najniższemi warstwami społecznemi, do których włączyła także Żydów, jest wielką zasługą jubilatki. Bez fałszywego sentymentalizmu, bez czułostkowości tak właściwej wielu kobietom — pisarkom, zdołała Orzeszkowa poruszyć masy czytających prawdą swego słowa.

Tam, gdzie tylko rozbrzmiewa polski język, czy to nad Wisłą, lub Wilią, czy też za Oceanem, powieści Orzeszkowej są i będą czytane, bo oprócz „duszy“ polskiej, którą na każdej karcie jej utworów Polak spotyka, musi zachwycać się jej przepięknym językiem. Do takiej obrazowości i czystości wysłowienia się, jak Orzeszkowa, wznoszą się tylko najwięksi mistrze, władający polską mową. Ustępy z jej powieści „Nad Niemnem“ powinny znajdować się w wypisach, z których młodzież nasza uczy się poprawnie pisać, mówić a także i czuć po polsku. Wszyscy zaś, którzy mieli w ręku którąkolwiek inną z jej powieści, niezawodnie nauczą się z niej czcić ideały, jakim hołduje Orzeszkowa: zdrowy patryotyzm i miłość bliźniego, pojęta w sposób jak najszerszy, najszlachetniejszy.

* *

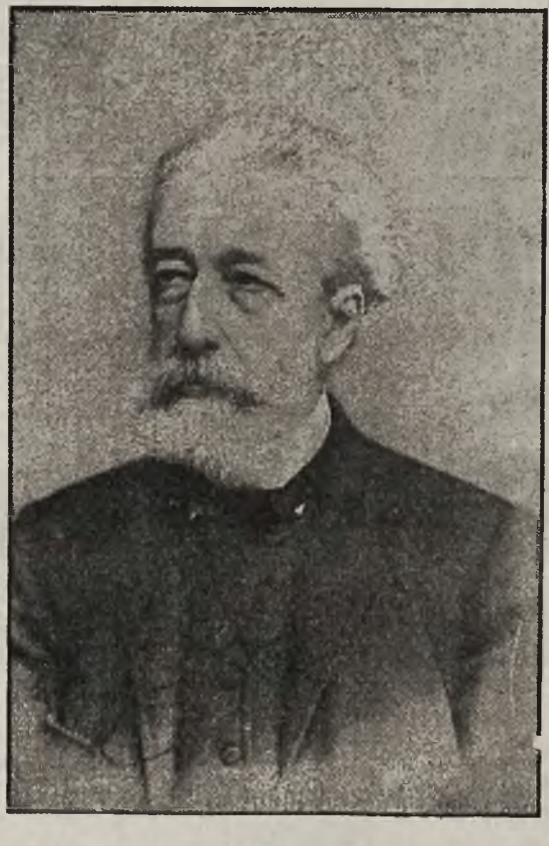
W ciągu kilku dni ubiegłych Kraków składał w sposób uroczysty hołd Elizie Orzeszkowej za czterdzieści lat jej pracy twórczej na niwie powieściopisarstwa polskiego i za czterdzieści lat działalności obywatelskiej wielkiej patryotki.

Szereg obchodów jubileuszowych rozpoczął wieczór uroczysty w teatrze miejskim, gdzie odegrano „Harde dusze“, wspaniały dramat według jednej z najpiękniejszych powieści Orzeszkowej, przerobiony świetnie na scenę przez Zygmunta Sarneckiego. Po pierwszym akcie publiczność, licznie w teatrze zebrana w strojach uroczystych, udała się do przedsionka, gdzie przed biustem jubilatki, wykonanym umyślnie na ten cel przez znanego artystę rzeźbiarza Tadeusza Błotnickiego, a ustawionym w klatce schodowej (jak widać na naszej fotografji) odbyło się złożenie hołdu obywatelce-pisarce. Imieniem komitetu prof. J. Flach wygłosił odpowiednie przemówienie, poczem wśród fanfary orkiestralnej i uroczystego poloneza Żeleńskiego złożył komitet piękne wieńce u stóp białego posągu jubilatki.

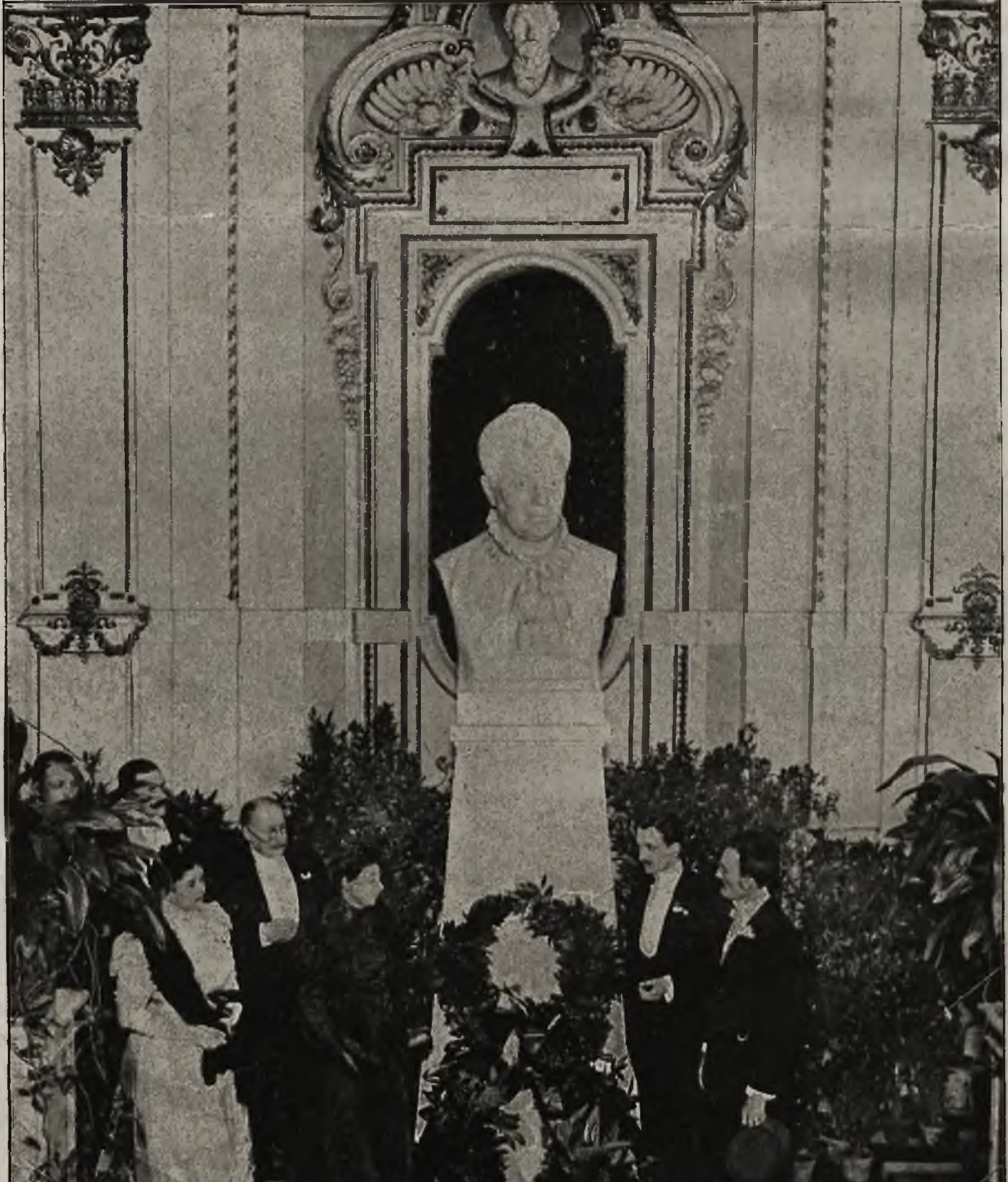
Nazajutrz w uniwersytecie Kółko slawistów urządziło zebranie uroczyste ku czci Orzeszkowej, a wieczorem w teatrze ludowym szersze koła publiczności wzięły udział w obchodzie jubileuszu. Tu odegrano „Meira Ezofowicza“ (przeróbkę sceniczną A. Kallasówney z rozgłośnej powieści Orzeszkowej), a przedstawienie poprzedziła mowa dyrektora Frączkowskiego przed biustem jubilatki. Następnego dnia powtórzono w teatrze ludowym przedstawienie dla młodzieży szkolnej. Nadto w Kole literackiem odbył się koncert, a w różnych zakładach naukowych odpowiednie obchody.

Pięknem zakończeniem krakowskiej uroczystości jubileuszowej był wieczór w salach starego teatru, gdzie również znalazł się biust jubilatki dłuta Błotnickiego. Program rautu wypadł świetnie pod każdym względem.

Powszechną uwagę uczestników wieczoru zwracała prześliczna skrzynia pomysłu p. Jana Bukowskiego, w stylu swojskim, przeznaczona wraz z listami adresowymi i telegramami, które w niej pomieszczono, na dar jubileuszowy dla Orzeszkowej. Jest to skrzynia krakowska dużych rozmiarów, z bogatymi haftami na atłasie, okuta w miedź, z wielkimi koralami zamiast gwoździ. Stanowi ona jedno z najwybitniejszych dzieł polskiej sztuki stosowanej. Widzą ją Czytelnicy na załączonych rycinach, raz zamkniętą, drugi raz otwartą, z widocznym wewnątrz adresem hołdowniczym.



40 lat posłem: Książę Jerzy Czartoryski.



Fot. przy sztucznem oświetleniu aparatem redakcyjnym W. Lis.

Kraków — Orzeszkowej: Podczas uroczystego przedstawienia w teatrze miejskim, komitet obchodu jubileuszowego, zebrany w przedsionku u stóp biustu Orzeszkowej, dłuta T. Błotnickiego.

Lat czterdzieści posłem.

Niektóre z rodzin magnackich w Polsce tak już ściśle są związane z jej dziejami, których karty chlubnie wypełniają, że trudno sobie wyobrazić — stosunków społecznych — aby np. tacy Czartoryscy nie stali w pierwszym rzędzie tych, co walczą za nasze najdroższe ideały narodowe.

Jednym z takich bojowników za sprawę polską, jednym z najlepszych ludzi, jednym z tych możnych panów, który na stanowisku, jakiego im udzieliła Opatrzność, świadomi są nietylko swych praw, ale także i obowiązków — jest bezsprzecznie książę Jerzy Czartoryski z Wiązownicy, od lat czterdziestu poseł do Sejmu galicyjskiego.

Przed kilku dniami najwybitniejsi członkowie Sejmu, dygnitarze duchowni i świeccy, uczcili sędziwego księcia (urodził się w 1828 roku) bankietem w kasynie narodowem we Lwowie, z okazyi jego czterdziestoletniego posłowania. Kulminacyjnym punktem tej prawdziwie podniosłej biesiady było przemówienie marszałka krajowego, hr. Stanisława Badeniego, który między innemi w ten sposób dał wyraz uczuciom zebranych.

„Obok prac w Sejmie nie zapomniałeś ani na chwilę o gminie, najbliższej okolicy i powiecie. A fakt, że pomimo sędziwego wieku stoisz dziś na czele autonomii powiatu, pozostanie po wszystkie czasy dla nas wszystkich wzorem ofiarności i gorliwości obywatelskiej, a zarazem i wskazówką, że rozwój wszelkich instytucyj autonomicznych pomyśleć się da tylko na gruncie gorliwego i ofiarnego spełniania obowiązków.

„Od długiego szeregu lat nie należałeś Mości Książę do żadnego stronnictwa, ale w smutnej i bolesnej dla narodu polskiego chwili, gdy chodziło o wyrażenie myśli i uczuć całego narodu polskiego i gdy chodziło o to, aby nazwisko mowcy przedstawiało na zewnątrz cały naród bez różnicy stronnictw i odcieni, wtedy instynktownie zwrócili się wszyscy do Ciebie i Ty to imieniem całego narodu polskiego dałeś wyraz naszej boleści, ale zarazem i naszych nadziei w słowach: „Osądzi te wypadki historya, osądzi je Bóg i sprawiedliwość wymierzy“.

„Dziękujemy Ci za twą działalność w życiu publicznem, za siłę przykładu, ja-

ką ona nam daje. Obyś w tej pracy przodował nam jak najdłużej, aby urok twej siwizny, „młodszej — jak mówi poeta — od niejednych lat młodych“ dodawał nam otuchy, hartu i wiary, byśmy w pracy i służbie narodowej wytrwali „usque ad finem“.

Sądzimy, że te wymowne słowa najwyższego naszego dygnitarza autonomicznego znajdą rozgłośne echo w całym kraju, umiejącym czcić swych zacnych synów, przodujących wszystkim współobywatelom czynnym przykładem.



Znakomity chirurg polski: Zmarły w Warszawie ś. p. dr. Wł. Krajewski.

Znakomity chirurg polski.

Z pośród nielicznej garstki chirurgów polskich ubyła jednostka poważna, której stratę odczuje zarówno społeczeństwo, jak lekarze. Znany w Warszawie i szanowany, jako lekarz praktyk, cieszący się szerokiem uznaniem, śp. dr. Władysław Krajewski zmarł w pełni męskiego wieku, bo w 52 roku życia, lecz nie w pełni sił, gdyż te od lat kilku zawodziły go skutkiem nieuleczalnej choroby. Zdawało się, że przed dwoma laty szczęśliwie dokonana operacya pozwoli go zachować czas dłuższy przy życiu, sztuka jednak dotychczas jest w tych razach bezsilna, nie może na czas zbyt długi przedłużyć nawet pożytecznego żywota. A żywot Krajewskiego był dla społeczeństwa użyteczny.

Wcześnie ukończywszy szkoły i uniwersytet warszawski, Krajewski sił swych próbował jako lekarz naprzód na polu bitwy podczas wojny tureckiej. To rozstrzygnęło o dalszem jego zamiłowaniu do chirurgii. Jakoż po powrocie zostaje asystentem przy katedrze anatomii opisowej, a jednocześnie prowadzi studya kliniczne.

Pozostaje pod kierunkiem doświadczonego chirurga, śp. Orłowskiego, mając wielki dar preperacyjny, nabyty w prosektoryum, Krajewski odrazu stanął w rzędzie poważnych chirurgów. To też wkrótce otrzymał nominacyę na ordynatora oddziału chirurgicznego w szpitalu „Dzieciątka Jezus“ w Warszawie, po dłuższym pobycie zagranicą, gdzie nie szczędził sił, ani kosztów, starał się zapoznać z ówczesnym stanem wiedzy.

Był to czas kiedy dzięki ulepszonej antyseptyce oddziały chirurgiczne przestały być przybytkiem róży i gorączek przyrannych, a stały się świątynią czystości. Krajewski z zapałem młodości starał się zużytkować w praktyce zdobycze nauki. I aczkolwiek pierwsze jego, zbyt może ostre wystąpienia, na razie wytworzyły mu niechętnych, dalszą swą pracą starał się dowieść, ile z tych zarzutów było niesłusznych. Bądź co bądź, Krajewski, zostawszy kierownikiem oddziału chirurgicznego, chciał i umiał, mimo przeszkód, postawić go na pierwszorzędnej stopie.

Krajewskiego, jako chirurga, znamionowała przedewszystkiem śmiałość: nie cofał się przed żadną operacyą, skoro widział w niej dla chorego zbawienie, a że antyseptykę, a później aseptykę na swym oddziale posunął do mistrzostwa, wkrótce zasłynął jako chirurg pierwszorzędny. To też oddział jego zwabiał licznych chorych, a jednocześnie wzrastała jego praktyka prywatna.

Krajewski wogóle pisał stosunkowo wiele i należał do tych autorów, których prace czytywane są przez wszystkich, cechował je bowiem zarówno polot myśli, jak sumienność wykonania.

Rozwój nauki leżał mu zawsze na sercu. W r. 1884 należał do pierwszych redaktorów „Kroniki lekarskiej“, którą stale i po usunięciu się ze stołka redakcyjnego zasilał swemi pracami; w r. 1893 założył jedyne polskie pismo specyalne chirurgiczne, które aż do ostatnich chwil prowadził. A jest to wydawnictwo archiwalne, które jest chlubą nie tylko naszego piśmiennictwa.

Od pierwszych chwil pracy samodzielnej starał się przy oddziele utworzyć pracownię naukową, z której wychodziły prace poważne, a po przeniesieniu szpitala rozszerzył ją i przeważnie własnym utrzymał kosztem. Z Krajewskim zatem, zmarłym zbyt wcześnie, ubywa siła poważna i strata siły takiej w dobie przełomowej, gdy świta nadzieja wszechnicy polskiej w Warszawie, jest poważna, niewątpliwie bowiem jedna z katedr chirurgii znalazłaby w nim godnego profesora.

Krajewski szedł zawsze przez życie samodzielnie; w początkach miał stąd wielu przeciwników, których dalszem swem życiem przekonać umiał. Był indywidualistą wybitnym i niczyim wpływom się nie poddawał. Poza wybitnym lekarzem straciliśmy więc i wybitną jednostkę społeczną.

Zgon obywatela patryoty.

Z szeregów lwowskiego mieszczaństwa ubyła znowu jedna z najpiękniejszych postaci. Oto w ubiegłym tygodniu zmarł tam powszechnym otaczany



Zgon obywatela patryoty: Prezes komitetu obywatelskiego obchodów narodowych we Lwowie, ś. p. Edward Machan (z rodziną).

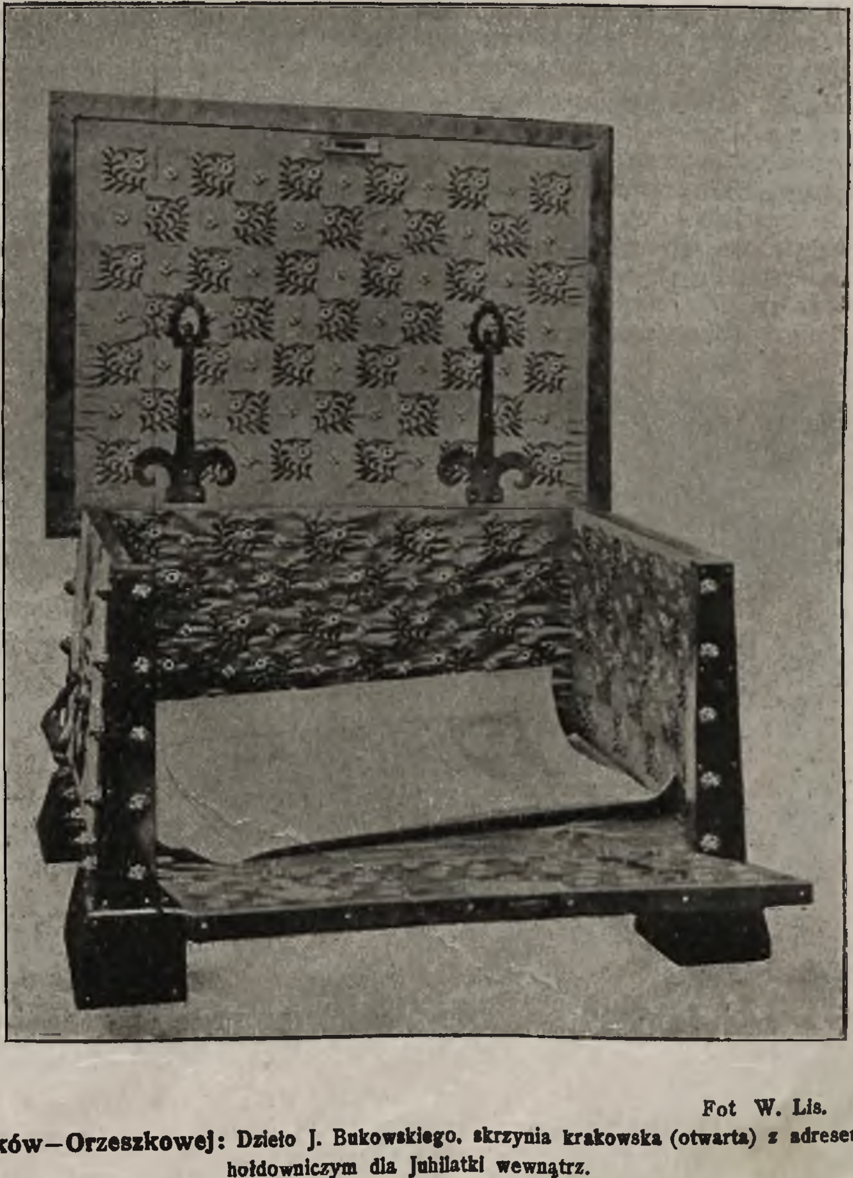
szacunkiem obywatel, śp. Edward Machau. Człowiek to był jeden z najbardziej popularnych we Lwowie, a popularność tę zdobył on sobie długoletnią, pełną poświęcenia pracą obywatelską.

Urodzony w r. 1843 w Rodatyczach, ukończył studya techniczne we Lwowie. Rok 1863 zastaje go w szeregach organizacyi narodowej. Bawiąc w Podmokłem (Bodenbach), zajmuje się gorliwie przeprowadzaniem i wysyłką zagranicę skompromitowanych politycznie rodaków i kładzie w tej



Fot. W. Lis.

Kraków—Orzeszkowej: Dar jubileuszowy, artystyczna skrzynia krakowska pomysłu J. Bukowskiego (zamknięta).



Fot. W. Lis.

Kraków—Orzeszkowej: Dzieło J. Bukowskiego, skrzynia krakowska (otwarta) z adresem hołdowniczym dla Jubilatki wewnątrz.

mierze poważne zasługi. I następnie do końca życia każda praca obywatelska znajduje w nim jednego z najwytrwalszych, najgorętszych współpracowników. Osiadłszy na stałe we Lwowie, jako właściciel znanego i dobrze renomowanego zakładu me-



Nowy poseł krakowski: Radca Józef Sare, wybrany posłem do Sejmu z Izby handlowej.

chanicznego, brał udział we wszystkich komitetach obywatelskich, pracował wszędzie, gdzie chodziło o dobrą, o piękną sprawę. Zasługi jego na tem polu spowodowały komitet obywatelski, iż powołał go na swego przewodniczącego. W tym charakterze zajmował się ś. p. Machan urządzaniem prawie wszystkich obchodów narodowych, patryotycznych. Był też śp. Machan przez szereg lat członkiem Rady miejskiej, należał do najgorliwszych członków Tow. „Ochrona młodzieży“ itd. A na każdym polu pracy obywatelskiej odznaczał się młodzieńczym iście zapałem, ofiarnością wielką i poświęceniem.

Pracował na niwie życia publicznego do ostatnich chwil życia. Jeszcze ostatni obchód grunwaldzki odbył się pod jego kierunkiem, jeszcze brał gorliwy udział w ostatnim jarmarku krajowym.

Myśląc o stworzeniu silnego, poważnego, patryotycznego mieszczaństwa, o wykształceniu i wychowaniu należytem i w duchu patryotycznym przyszłych przemysłowców i kupców, śp. Machan inicyatywę do stworzenia Towarzystwa, któreby na celu miało stworzenie burs dla młodzieży rękodzielniczej i handlowej i kładzie podwaliny Towarzystwa im. Dekerta.

To była ostatnia praca zmarłego. Choroba, która od pewnego czasu nurtowała już silny organizm starca, rzuciła go wreszcie na łoże boleści, z którego nie miał się już dźwignąć. Zmarł we wtorek 5 marca br., a zgon tego dzielnego starca, siwego jak gołąb, słusznego wzrostu, o rysach ogromnie ujmujących, wywołał w całem mieście szczery żal, współczucie. Cześć jego pamięci!

Nowy poseł krakowski.

Po mężu nieposzpolitym, jakim był bł. p. dr. Arnold Rapoport, krakowska Izba handlowa i przemysłowa powierzyła mandat, którym rozporządza do Sejmu, panu Józefowi Saremu, starszemu radcy budownictwa i drugiemu wiceprezydentowi miasta Krakowa.

W tym przypadku instytucya powyższa, poważna przedstawicielka naszych sfer zawodowych, nie mogła uczynić stosowniejszego wyboru, gdyż nowoobrany poseł cieszy się uznaniem szerokich warstw naszego grodu, jako wzorowy obywatel, gorący patryota Polak, chociaż jest Izraelitą i c. k. urzędnikiem, oraz jako pierwszorzędna siła fachowa.

Poseł Sare jest Krakowianinem z rodu; liczy lat 56. Studya odbywał w Krakowie i w Wiedniu. Wstąpiwszy do technicznej służby rządowej, pracował naprzód w starostwie tarnowskiem, następnie w Namiestnictwie we Lwowie, a wreszcie od dłuższego czasu kieruje sprawami technicznemi przy starostwie w Krakowie.

Położył on tu wielkie zasługi jako tęgi fachowiec w zakresie sobie powierzonym, a jeżeli w końcu sprawa regulacyi Wisły i Rudawy przyjdzie raz do skutku, to będzie w znacznej mierze jego zasługą.

* * *

Kraków wogóle, a szczególniej jego sfery zawodowe, mogą spodziewać się, że nowy poseł będzie wymownym i skutecznym rzecznikiem ich najżywotniejszych interesów w Sejmie krajowym, gdzie niezawodnie zajmie takie stanowisko, jak w Radzie miejskiej naszego grodu.

Bamba na Saskiej Kępie.

(Do illustracyi tytułowej.)

W ostatnich dniach w Warszawie kronika zapisała znowu dwa wybuchy bomb, nawet jednego dnia. W szkole realnej na Złotej ktoś rzucił bombę do gabinetu dyrektora, lecz wybuch, mimo uszkodzeń prawie drobnych, nie pociągnął na szczęście ofiar w ludziach. Jednocześnie na Saskiej Kępie nastąpiła eksplozya przypadkowa bomby znalezionej pod krzakiem.

Oto w południe całe Powiśle zarówno od strony Warszawy, jak i wybrzeża praskiego zaalarmował silny huk, słyszany na znacznej przestrzeni i w okolicy trzeciego mostu. Wyjaśniło się wkrótce, że na położonej na Saskiej Kępie posesyi Jeromińskiego parobek, Kazimierz Szymczak, posłany przez gospodarza, udał się w pole narąbać chrustu na podpałkę.

Pod jednym z krzaków, do którego podszedł z siekierą Szymczak, znalazł on dużą i ciężką kulę żelazną, którą przeniósł na puste miejsce i uderzył o nią siekierą. Momentalnie kula eksplodowała z wielkim hukiem, rzucając całego okrwawionego Szymczaka na ziemię. Zerwał się on jednak i ubiegł z 50 kroków, ale omdlawszy, upadł ponownie i tak znaleźli go nadbiegli na miejsce wybuchu mieszkańcy okoliczni.

Ciężko rannego, broczącego obficie krwią, przeniesiono na ulicę Sprzeczną, dokąd przybyły lekarz Pogotowia opatrzył rany Szymczaka i przewiózł go karetką do szpitala praskiego, gdzie umieszczono ofiarę wybuchu w oddziale chirurgicznym dr. Rauma. Stwierdzono oberwanie obudwu rąk do przedramion, oraz rany tłuczone i szarpane głowy. Szymczak był nieprzytomny. Liczy on 32 lata.

Na miejscu wypadku znaleziono: rękojeść strzaskanej siekiery, odłamki formy bomby z bardzo



Fot. S. S. z Zakopanego.
Smierć pod kołami pociągu: W polu między Chabówką a Jordanowem pociąg stanął po przejechaniu kobiety.

grubego lanego żelaza ze śladami spalonej siarki, oraz oderwany palec Szymczaka. Grunt w miejscu wybuchu opalony i zakrwawiony.

Illustracya na stronie tytułowej wyobraża trzy momenty tego zdarzenia: gdy Szymczak siekierą uderza o bombę, gdy wybuch odrywa mu obydwie ręce i gdy wreszcie odnajdują go sąsiedzi rannego.



Fot. S. S. z Zakopanego.
Smierć pod kołami pociągu: Zwłoki młodej góralki, przejechanej przez pociąg między Chabówką a Jordanowem.



Fot. S. S. z Zakopanego.
Smierć pod kołami pociągu: Prowadzący pociąg spisuje protokół nad zwłokami przejechanej góralki

Na wulkanie

Powieść ARTURA GRUSZECKIEGO

na tle ostatnich rozgłośnych wypadków w Królestwie Polskiem.

13 Ciąg dalszy.

W tej chwili uczuli się bezpieczni, bo jest Bal, a ten wyrwie ich z każdego niebezpieczeństwa. Szli śmiało, a pokłoniwszy się dla niepoznaki Balowi, stanęli.

— Idźcie obydwaj za tym posługaczem — wskazał człowieka w granatowej bluzie — za furtką stoi powóz, tam złożycie papiery .. i wolni jesteście do wieczora, a o godzinie szóstej w znanej wam cukierni.

Już odchodzili, gdy Bal podszedł do nich i szeptał:

— Chciałbym was uściskać i podziękować w imieniu partyi.

— To my dziękujem za zaufanie — odszepnął Marceli — a jak dobrze, że spotkaliście nas!

— Byłem na każdym pociągu; no bywajcie... do szóstej.

Do wracającego Bala podszedł Porwa z pytaniem:

— I cóż?

— Zobaczymy w powozie.. i jedziemy do Logiki.

— Do niej? — zdziwił się.

— Tam najbezpieczniej... uprzedziłem ją.

ROZDZIAŁ V.

Krętemi, kamiennemi schodami weszli Porwa i Bal na trzecie piętro oficyn, kamienicy przy ul. Złotej i zapukali do drzwi.

Otworzyła im Logika, rozpromieniona, z błyszczącemi oczyma i z uśmiechem radości podała im rękę:

— Witajcie... jestem naprawdę uradowana, że widzę was towarzyszu — ściskała rękę Bala i przypatrywała mu się tak, jakgdyby go widziała po raz pierwszy po długiem niewidzeniu.

Porwa patrzył na nich chmurny, lecz wkrótce rozjaśnił twarz, gdy i do niego z kilkoma serdecznemi słowami zwróciła się Logika, zapraszając ich z ciemnego malutkiego przedsionka do pokoju oświetlonego dwoma oknami. W promieniach południowego słońca posadzka i meble błyszczały czystością, i każdy zakątek pokoju świadczył o zamiłowaniu mieszkanki do piękna i poważnej pracy.

W oknach było pełno zieleni i kwiatów, tak, że przez górną połowę okien przeglądało jasne, blado-niebieskie niebo jesienne, gdy dolna część zakrywała brudne mury i dach kamienicy.

Czem w kole punkt centralny, tem była w tym pokoju szafa z książkami i wygodne biurko, nadające mu właściwy charakter.

Żadnych ozdób, cacek, drobnostek, li tylko to, co służy do użytku, ale każda z tych rzeczy miała na sobie cechę osobistego upodobania i smaku.

— Opowiadał mi towarzysz Kola — zaczęła Logika, gdy usiedli przy okrągłym stoliku — o waszej wyprawie i wy jedyni jesteście na spiskowca z waszą flegmą angielską i przebiegłością. Dzienniki fantazyują na ten temat i piszą, jak o przerażających zbójach, z minami srogiemi, z kudłatemi brodami, a tymczasem ten wódz zbrodniarzy, ugrzeczniony Rinaldo i warszawski elegancik — śmiała się wesoło.

— Dodajcie, że i lowelas — dodał Porwa.

— Tak?... Nie przypuszczałam — patrzała badawczo na Bala.

— Żarty, towarzyszko.. nie mam czasu na umizgi i zalecanki — wzruszył Bal ramionami — gdybym pokochał, powiedziałbym wprost, bez obsłonek, śmiało, a nie wzdychałbym, ani oczu wypatrywał jak kot za myszą — i przelotnie spojrzał na Porwę, co dostrzegła Logika i leciutko się zarumieniła, a chcąc zmienić rozmowę, przerwała:

— Przypuszczam, towarzysze, że macie coś ważnego, mówcież...

— Najpierw proszę was do siebie na siódmą; chcę po tych przejściach odetchnąć wśród swoich, następnie proszę was o schowanie ważnych papierów...

— Zaprosiny wasze przyjmuję; chcę być uczestniczką naszego tryumfu — uśmiechnęła się — i niepotrzebnie trudziliście się aż na trzecie piętro, wystarczyłaby karta. Co do przechowania papierów, zgadzam się, jeżeli uważacie mój pokój, jako bezpieczne ukrycie.

— Czy była u was rewizya? Jesteście może pod dozorem? — spytał szybko Bal.

— Dotychczas ani jedno, ani drugie... deptano mi po piętach kilkakrotnie, ale na tem koniec.

— Tak też przypuszczałem... a teraz zważcie: Porwa miał rewizyę i jest pod dozorem, ja miałem również wizytę żandarmów dwukrotnie, a paczka papierów przyniesionych tutaj mogłaby wznieść nas wyżej, aniżeli tego wymaga zdrowie i życie, więc na dwa, trzy dni wam powierzamy.

— Dobrze... dajcie, a ja schowam.

— Zaraz towarzyszko — i otworzywszy portfel, jakiego używają adwokaci, udając się w sprawach swych do sądu, począł wyjmować banknoty porządnie i systematycznie ułożone i opatrzone opaskami.

Były tam paczki stówek, dwudziesto-pięcio rublówek, dziesiątki, piątki i trójki.

Logika na widok pieniędzy spoważniała i rzekła:

— Nie wiedziałam, że będę odpowiedzialną za pieniądze... ale stało się — westchnęła.

— Jeśli się boicie, zabiorę — spojrzał w jej oczy Bal.

— Jadąc do was, z kolei przypuszczałem towarzyszko. że jesteście uprzedzeni o pieniądzach — mówił Porwa szybko — i że zgodziliście się. Bal postąpił niewłaściwie... te pieniądze ja biorę do siebie.

— Abyś wisiał — mruknął Bal i wziął jednę paczkę ze stołu celem schowania do portfelu.

— Towarzyszu Balu, połóżcie paczkę na stole — zawołała zaczerwieniona — schowam te pieniądze... Wasza złośliwość o mej bojaźni nie dotknęła mnie, chociaż była niesprawiedliwą, a wam towarzyszu — zwróciła się do Porwy — nie pozwolę przechowywać... — dostrzegłszy błysk w jego oczach, dodała chłodnym tonem — różnimy się wprawdzie nie w przekonaniach, lecz w drogach do wspólnego celu, lecz jeśli mogę wam pomódz, pomogę chętnie.

— Na to liczyłem też, jadąc do was — mówił Bal swobodnym głosem — u nas mogą zarządzić poszukiwania, ale nie u was.

— Czyżby was podejrzywano? — spytała zaniepokojona.

— Aresztowano czterech towarzyszy przed zamachem na kasę, piątego brakuje dotychczas... mogą się powikłać w zeznaniach... ktoś mógł mnie widzieć .. i głupstwo, jeśli mnie wezmą, wyjdę zawsze cało, ale pieniądze mogą przepaść, a nam trzeba dużo, bardzo dużo...

— Rzecz skończona, schowam... tylko wpierw przeliczcie.

— Bardzo słusznie — odezwał się Porwa — zresztą musimy sprawdzić, czy towarzysze nie zgubili w drodze.

Liczyli.

Logika przypatrywała się obojętnie tej masie pieniędzy i rzekła:

— Wiecie, pieniądze wogóle są wstrętne; ile to pracy i łez na nich, ile niesprawiedliwości i wyzysku.

— W naszym ustroju będą czyste — uśmiechnął się Bal — a tymczasem i te są potrzebne...

Wreszcie gdy doliczyli do dwukroć, powiedział Porwa zadowolony:

— Są wszystkie... i te zostawiamy u was towarzyszko.

— Tylko dwakroć! — zdziwiła się — a gdzie jest reszta?

— W złocie i srebrze 347.000 schowaliśmy w innem miejscu, a 940 rubli poszło na wydatki, których wykaz podam na posiedzeniu wydziału partyi — rzekł Bal tonem urzędowym.

— Ależ nie żądałam, ani myślałam o sprawdzaniu pieniędzy — mówiła zarumieniona — i jacy wy drażliwi?! Jakkolwiek was nawet w myśli o nic nie posądzałam, jak wy mnie o bojaźń i tchórzostwo.

— To prawda, darujcie mi Logiko, ale byłem rozdrażniony i wstyd mi teraz.

— Co za wykwintne salonowe formy — śmiał się Porwa.

— Dobrze jest w nich się ćwiczyć, bywają doskonałą maską — uśmiechnęła się Logika.

— I często używacie jej? — spytał złośliwie Porwa.

— Z towarzyszami nigdy.

— Całe szczęście, że jestem towarzyszem — podkreślił Porwa ostatnie słowo.

— Wy?... wy nie jesteście z mojej partyi, zresztą nie o to idzie w tej chwili. Wiecie, była Gwalberska u mnie, syna widziała, śledztwo nawet nie zaczęte... czy nie możnaby go wyrwać?

— Nie wiem nic na razie... ale bez ratunku nie zostawimy go.

— Bywajcie zdrowi — wstał Bal — a nie zapomnijcie o siódmej.

— Idę z tobą... do widzenia towarzyszko — podał rękę Porwa.

Gdy byli na ulicy, rzekł Bal:

— Dobrze byłoby, gdyby ona była z nami, inteligentna, odważna i przezorna.

— I ja pragnę tego... Dlaczego narzuciłeś jej te pieniądze? — patrzał mu w oczy.

— Zrobiłem to rozmyślnie — uśmiechnął się — aby zacieśnić węzły.

— Nie uda ci się z nią, pochłonął ją szeroki program S Deków.

— Spróbuję jednak.

— Wiesz Balu — mówił po chwili Porwa — więcej zależy mi na Koli, on przydałby się nam nadzwyczajnie.

— Coś wiem o tem... On był mi rodzajem tarczy w czasie wyprawy... może i mam sposób na niego, ale się waham.

— Obawiasz się niepowodzenia? — zaśmiał się Porwa — nie bądź tylko zarozumiałym.

— Ach, nie w tem rzecz — wzruszył ramionami — pracuję bezimiennie, bez pragnienia sławy lub uznania... i mogę mieć Kolę z nami... ale...

— Jeśli tylko możesz, to nie wahaj się, pomyśl, jakie stanowisko zajmuje ojciec jego, przecież u niego koncentruje się akcya rządowa... zresztą po co ci tłomaczyć i jeśli tylko możesz nakłonić go do naszej partyi, zrób to koniecznie. Mam w planie wielką akcyę partyjną i taki człowiek jest nam bardzo potrzebny.

— Dobrze Porwa... pozwól mi się namyśleć... któraż to godzina? — spojrzał na zegarek — wkrótce druga, jadę do ciotki — skinął na dorożkę — do widzenia o siódmej.

— A nie zapominaj o Koli — dodał Porwa.

Bal skinął głową i jechał w stronę Alei Ujazdowskich, gdzie mieszkała jego ciotka, pani Kulińska, wdowa po wysokim urzędniku.

Dorożkarz stanął pod wskazanym adresem, a Bal wysiadłszy spojrzał na zegarek i mruknął do siebie:

— Teraz obiad, przeszkodzę...

Postanowił przeczekać do przypuszczalnego końca obiadu i dla zabicia czasu szedł zwolna w stronę ogrodu Botanicznego.

Rozejrzał się wokoło i aż uśmiechnął się z zadowolenia. Przepysznie wyglądały stare lipy z różnobarwnemi liśćmi; piękne domy pałacowe z lustrzanemi szybami; snujące się powozy z pięknemi kobietami, wytwornie ubranemi, w towarzystwie eleganckich panów; tłumy strojnej publiczności z uśmiechem na ustach z wesołością w oczach.

To był świat, z którego wyrósł, którego strony złe i dobre znał dobrze i umiał się w nim oryentować. Poznawał znajome i znajomych, z którymi miewał bliższe nawet zażyłe stosunki, a dziś pozostał z nich tylko martwy ukłon, ludzi hołdujących konwenansom. Patrząc na nich, pomyślał nie bez pewnego gorzkiego zdziwienia:

— I ja mogłem przyjaźnić się z nimi!

Dziś czuł się od nich tak dalekim, tak obcym, tak innym... nietylko przekonania go dzieliły od nich, ale pomiędzy nim a nimi dojrzał w tej chwili nieprzebrany tłum głodnych, wynędzniałych, wyzyskiwanych, zniewolniczonych, którzy nie mają czasu, aby patrzeć na piękno natury, podziwiać sztukę, zachwycać się muzyką, użyć przyjemności, czytać, myśleć... a całe zagadnienie życia streszcza się w jedynem zdaniu: Czy jest co jeść, czy będzie co jeść?

I owładnął nim wstręt, poczuł ogromną gorycz do tego strojnego, pasorzytnego świata.

Lecz przyjdzie czas sądu i sprawiedliwości, wybije godzina wolności i trzeba ją przyspieszyć, posunąć wskazówki zegara dziejów, przynieść ulgę zgłodniałym i spragnionym milionom i to zrobi socyalizm, a na tym przełomie dziejowym i on stoi i jego praca przyspieszy tę chwilę.

Rozmyślał o działalności partyi, tak, Porwa słusznie pragnie współdziałania Koli... to siła nie do pogardzenia i w razie gdy on zobaczy wśród nich Wandę, przyłączy się do nich, bo jeśli jej nie kocha teraz, to jest w niej w pewnej mierze zakochany.

Nadpłynęły wątpliwości etyczne, czy godzi się wyzyskiwać jego miłość w ten sposób? To przecież kolega, przyjaciel... lecz partya! Zresztą cóż on winien temu, że Kola daje się wieść na pasku miłości, trudno, aby on odpowiadał za głupotę jego.

A Wanda?

Uspokoił się tem, że jeśli on, mężczyzna, nie kocha i nie czuje potrzeby miłości, więc i Wanda jako jego siostra jest również obojętną na tego rodzaju uczucia, zresztą ostrzeże ją... to wystarczy...

Tak, on i Wanda są inni, nie tacy jak Porwa, uśmiechnął się ironicznie, ten kocha się, ale bardzo umiarkowanie, po mieszczańsku, jak rycerz wysługuje się, ubiega o względy... prawda, że Logika ładna, jaki uśmiech prześliczny i ten profil jej taki wytworny w liniach, a oczy marzące i ogniste, ona nawet bardzo ładna, lecz po co sobie głowę nią zaprzątać, wszak Porwa ją kocha a Porwa jest jego przyjacielem, towarzyszem!

Zadzwonił i oddał pokojówce bilet wizytowy, a sam wszedł do salonu, umeblowanego systematycznie, z wielką powagą, niemal surowością.

Dwa garnitury mebli, pokryte ciężką, drogą materyą, patrzyły na siebie z kątów przeciwległych ścian, podziwiając swą czystość i starannie dobraną pasmanteryę.

Portret nieboszczyka patrzał z tą samą niezamąconą powagą na pokój i oszkloną etażerkę, w której spoczywały ordery, wstęgi, jakieś zaschnięte kwiaty, miniatury, fotografie zblakłe ze starości i różne pamiątki minionych czasów, minionych ludzi.

Bal witał z uśmiechem starego znajomego meble, portyery ciężkie, portrety, pamiątki; znał to wszystko i podziwiał od dziecinnych lat. Wszystko zostało jak niegdyś, jak dawniej...

Cicho otwarły się drzwi, rozsunęły się portyery i na progu stanęła pani Kulińska, wysoka, zgrabna kobieta, z twarzą mimo pięćdziesięciu lat jeszcze świeżą, od której ładnie odbijały pukle srebrnych włosów.

Siostrzeniec pospieszył z ucałowaniem jej białych, delikatnych rąk.

— Nareszcie przypomniałeś sobie o starej ciotce... siadaj... dlaczego nie byłeś u mnie?

— Odwiedziłem Stefcię, która przysyła wraz z Wandą ucałowanie rączek cioci... naturalnie i Żegielski.

— Cóż u nich słychać? zdrowi?

— Dziękuję cioci, zdrowi, a ciocia?

— Jak zwykle u starych — uśmiechnęła się — to to, to owo dolega...

Rozmowa zeszła na familijna stosunki, więc siostrzeniec skorzystał ze sposobności.

— Stefcia jest w innym stanie, zdaje mi się, że pobyt Wandzi w tym czasie nie jest właściwy...

— Tak?... Biedna Stefcia, to już trzecie dziecko... hm... istotnie Wandzia jest zbyt młoda, byłoby niestosownem...

— Chciałbym Wandę sprowadzić do Warszawy, zaniedbała na wsi grę na fortepianie, a zdaje się, że posiada zdolności w tym kierunku.

— Ona wogóle jest bardzo zdolna — powiedziała szczerze — tylko... zbyt samowolna, lekce waży przyjęte formy.

— Nie zauważyłem tego, ciociu.

— Bo nie stykałeś się z nią w codziennem życiu, ale ja wiem, co mówię. Dam ci jeden przykład z wielu. W czasie jej ostatniej bytności u mnie, przyszedł z wizytą pan Stefan... wiesz, ten urzędnik do szczególnych poruczeń, człowiek bardzo „comme il-faut". Naturalnie w rozmowie chwaliłam jego pracę dla dobra publicznego, bo on dość bogaty i służy tylko dla honoru. On przyjął to mile, a Wanda mówi, że rozumie tylko jeden rodzaj pracy dla dobra publiczngo i gdyby była na jego miejscu, zrobiłaby to natychmiast. Przypuszczałam, że powie stosowny komplement, on również. I wiesz, co posłyszeliśmy?... — nachmurzyła się.

— Cóż takiego ciociu?

— „Imagine toi..." nie mniej, nie więcej, radziła mu, aby dobrowolnie lub przemocą usunął cały rząd z Królestwa! Słyszysz?

Siostrzeniec z trudnością wstrzymał się od uśmiechu, dodając z miną poważną:

— Ma ciocia słuszność, to było niewłaściwe.

— Niewłaściwe?! — oburzyła się — ty nazywasz to tylko niewłaściwem?! Ależ to było bez taktu w najwyższym stopniu, poprostu grubiańskie. Taka propozycya i to komu? Jemu, który stoi tak blisko najwyższego naczelnika kraju...

— I cóż się stało?

— Obróciłam to w żart, a on jest za dobrze wychowany, aby przywiązywał wagę do słów młodej panienki. Gdy opowiadałam to Ryszardowi, był oburzony, bo teraz wiesz, takie czasy niespokojne, ci nihiliści, anarchiści i podobne odezwanie się mogłoby mieć bardzo złe następstwa... chwała Bogu, że to było u mnie i umiałam to zatrzeć.

— Cóż słychać u Ryszarda? — spytał o jej syna, będącego w Petersburgu przy ministerstwie.

— On zdrów, pracuje, spodziewa się awansu



— Witajcie... jestem naprawdę uradowana, że widzę was, towarzyszu...

przy konstytucyi, bo sam minister Bułygin jest za zniesieniem ograniczeń dla Polaków. A kraj, zamiast czekać spokojnie, czuć wdzięczność za obiecaną konstytucyę, popierać rząd, daje się powodować garstce zwaryowanych anarchistów, łajdaków, rabujących kasy rządowe, to okropne! Nie mogę patrzeć na to i w przyszłym tygodniu jadę do Petersburga, bo żona Ryszarda niedomaga, ta zawsze choruje — mówiła z goryczą — chociaż ma najlepszego męża, ale to rozpieszczone, słabowite i ciągle kwęka.

— Więc ciocia jedzie?... A właśnie miałem zamiar prosić ciocię, aby Wandę przyjęła na jakiś czas.

— Nie... sam widzisz, nie mogę.

— Więc w takim razie wyszukam dla niej stosowny pensyonat, bo tam nie może dłużej zostać..

— Chętnie przyjęłabym Wandzię, ale wyjeżdżam na czas dłuższy.

— Czy nie pozwoliłaby jednak ciocia, aby Wandzia na jeden dzień przyjechała do cioci... idzie mi o zachowanie pozorów, ze względu na Żegielskiego, na sąsiadów... zajedzie tu i na drugi dzień wyprowadzi się. Dobrze ciociu?

— Ależ mój drogi, nie na jeden dzień, ale na dłużej, póki nie wyjadę... ja ją bardzo lubię, taka młoda, żywa... ona mnie starą rozrusza. Napisz niech przyjeżdża.

— Dziękuję cioci, napiszę.

— A czy nie trafia się jej ktoś stosowny? Mojem zdaniem zamążpójście byłoby dla niej najlepszem lekarstwem.

— Nie ciociu, nie słyszałem.

— To dziwne... panna ładna, z dobrego domu posażna... I mówisz, że nikt?! No, no... chyba, że przebiera, a w dzisiejszych czasach 30.000 nie znajdzie na drodze.

Porozmawiali czas jakiś i nareszcie Bal mógł pożegnać swą ciotkę.

Z uśmiechem zadowolenia wyszedł na ulicę, a że była godzina piąta, postanowił użyć tego czasu na przygotowanie do kolacyi i na napisanie listu do Wandy i Żegielskich.

Bal w swem ładnem, wykwintnie umeblowanem mieszkaniu kawalerskiem, składającem się z dwu pokojów, jasno oświetlonych lampami, robił ostatni przegląd zastawy i potraw przygotowanych na przyjęcie dzisiejsze.

W pierwszym pokoju, w którym przyjmował gości i zarazem pracował, widać było zamiłowanie do pewnych wygód i przyjemności.

Dywany były miękkie, puszyste, które pochłaniały każde stąpnięcie; otomana niska, wygodna; foteliki szerokie, wytworne swą prostotą; zgrabna szafa na książki i kilka ładnych obrazów dopełniały umeblowania a w całem mieszkaniu czuć było delikatny zapach tuberozy.

W oznaczonej godzinie zaczęli schodzić się goście. Pierwszy przyszedł Porwa z Figurą, wkrótce nadeszła Logika, a po niej Kola.

Jak zwykle rozmowa zeszła wkrótce na sprawy partyjne.

— Udało się wam jednak z tą kasą — uśmiechnął się Figura, wysoki, trochę zgarbiony, łysawy szatyn, z ładną brodą — pożyczcie nam ze 100.000, potrzebujemy na wydawnictwo.

— Bardzo słuszne żądanie — dorzuciła Logika, która należała wraz z Figurą do partyi S-deków.

— A tak, z gotowego łatwo brać — zaśmiał się Porwa — przecież my nie mamy monopolu na zabieranie kas rządowych... wolno i wam.

— Nam daleko trudniej — rzekł Figura — wy macie zorganizowane kadry, ogłosiliście wojnę rządowi i jego przedstawicielom.

— Dodajcie—przerwał mu Bal—rzecz najważniejszą, posiadamy współczucie psychologiczne całej ludności.

— Przechwałka — zadrwiła Logika.

— Wcale nie; świadkiem był wasz towarzysz Kola, jako szlachcic z krwi i kości, nienawidzący socyalistów. cieszył się. że polska partya socyalistyczna zabrała kasę rządową.

— Przez nienawiść do rządu—objaśnił Figura.

— W swoim czasie dam wam lepsze dowody tej sympatyi.

— Ta przychylność ludności nie powinna was S deków dziwić — rzekł Porwa — ona jest następstwem naturalnem naszych haseł: Precz z rządem! Precz z uciskiem!

— A czyż my głosimy co innego? — uśmiechnął się Figura — i nasze hasło: precz z wyzyskiem!

— Otóż cała różnica między nami — zaśmiał się Porwa — same hasła co innego głoszą. My mówimy, precz z rządem i staramy się czynnie go usunąć; precz z uciskiem, tak politycznym, jak społecznym... a wy wołacie precz z absolutyzmem, czyli pewną formą rządu i precz z wyzyskiem, czyli podniecacie do walki klasowej. Nasz program usuwa najboleśniejsze rany nasze: rząd i ucisk polityczno-społeczny, a wasz dąży drogą ewolucyjnego uświadamiania do usunięcia despotyzmu i wyzysku kapitalistycznego. Wy rozłożyliście waszą pracę na kilka, może kilkanaście dziesiątków lat, a my chcemy rezultatu... chociażby jutro.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Nie będzie końca świata.

W ostatnich dniach ubiegłego miesiąca obiegła dzienniki groźna wieść, jakoby pochodząca od profesora Matteucci'ego, słynnego dyrektora obserwa-



Nie będzie końca świata: Prof. Matteucci, dyrektor obserwatoryum na stokach Wezuwiusza.

toryum na stokach Wezuwiusza, że koniec świata jest bardzo bliskim. Obwieścił tę smutna wiadomość światu dziennik florencki „Corriere Toscano", który na podstawie rzekomego „interview'u" z wymienionym profesorem, ogłosił, że ku końcowi bieżącego miesiąca marca, droga (orbita) ziemi wejdzie w kolizyę z drogą przezeń nowoodkrytego komety. Naturalnie skutkiem takiego niedobrowolnego zderzenia, musiałby nastąpić bardzo niemiły rezultat dla planety, na którym jesteśmy ulokowani.

Wkrótce jednak pokazało się, że ów dziennik toskański padł ofiarą grubej mistyfikacyi, która za tło miała osobistą zemstę. Brat bowiem profesora Matteucci'ego, dyrektor jednej z najpoważniejszych instytucyj finansowych w Neapolu, nie był skłonnym do udzielenia pożyczek rozmaitym podejrzanym osobistościom.

Nie mogąc się zemścić wprost na dyrektorze owej instytucyi finansowej, osobistości te wybrały sobie za ofiarę znakomitego seismologa, pragnąc go skompromitować w oczach uczonego świata. Kłamstwo jednak wyszło na wierzch, profesor Matteucci zaprzeczył kategorycznie rzekomym przepowiedniom o końcu świata, a my możemy spokojnie oczekiwać Świąt Wielkanocnych, bez obawy, że wielka katastrofa zastanie nas przy święconem.

Jubileusz pracy reżyserskiej.

W tych dniach w Warszawie obchodził p. Ludwik Śliwiński, którego podobiznę podajemy, jubileusz pracy reżyserskiej w teatrach rządowych Oficyalnie nazywała się ta uroczystość piętnastoleciem. Tymczasem to już siedmnaście lat upłynęło od chwili, gdy p. Śliwiński objął był tonącą nawę teatru Małego przy ulicy Danielewiczowskiej. Tonęła ona w r. 1889 beznadziejnie, rachując żywot swój na tygodnie. Nowy reżyser zaś nietylko zdezelowany kadłub podstemplował, ale dał mu sprężystość i siłę do przetrzymania niejednej burzy. Z biegiem lat tonący statek stał się „złotodajnym" bo istotnie zwoził złoto do kasy teatralnej. I oto z „małego" w dosłownem słowa znaczeniu teatru powstały duże dwie sceny: krotochwilowa i operetkowa, obie zajmujące, obie imponujące doborem sił i zespołem. Zasługa to wyłączna jubilata, który zarówno teatrowi „Nowości" jakoteż „Nowemu" zapewnił na długie lata blask i rozmach Farsa i operetka w zakresie swojego przeznaczenia dosięgły najpiękniejszych wyników, głośnych i uznanych już dzisiaj daleko poza rogatkami Warszawy. Wszędzie tylko zjawiły się, w pojedynkę czy też zbiorowo, siły tzw. „trzeciej sceny" warszawskiej, kierowanej od kilkunastu lat przez p. Ludwika Śliwińskiego, witano je zawsze z gorącą pochwałą i nagradzano wszędzie rzęsistym oklaskiem. P. Śliwiński przez trzy lata był także głównym reżyserem dramatu w Rozmaitościach, a zaznaczył tam swój pobyt dążnością uprzystępnienia sceny warszawskiej młodym zastępom autorów i aktorów. Nie można tu pominąć też bardzo charakterystycznego szczegółu. Oto p. Śliwiński zanim został reżyserem, był aktorem teatru Małego i to oklaskiwanym gorąco, jednym z ulubieńców publiczności. Zrzekł się jednak tryumfów aktorskich na rzecz reżyseryi, wznosząc się ponad osobiste aspiracye dla dobra teatru, któremu poświęcił pracę, całą swą energię i pomysłowość niezwykłą.



Jubileusz pracy reżyserskiej: Ludwik Śliwiński, reżyser »trzeciej sceny« warszawskiej.

Na benefisowym poranku w sali teatru Wielkiego publiczność nagrodziła reżyserską działalność jubilata serdecznemi owacyami.



Z krainy »Króla królów«: Zapasy atletów perskich w Taszkiencie.

Z krainy „Króla królów".

Podwójna klęska, materyalna i moralna, jaką poniosła Rosya w wojnie z Japonią, nie pozostała także bez wpływu na ukształtowanie się stosunków tego państwa do państw i ludów azyatyckich. Równocześnie zaś inne interesowane mocarstwa, jak np. Wielka Brytania, musiały zmienić „kurs" swej dotychczasowej polityki wobec zmienionych stosunków w Azyi. I tak, dotąd dyplomacya angielska popierała w Persyi ruch panislamistyczny, używając go, jako skutecznego oręża przeciw wpływom rosyjskim w Teheranie, teraz jednak zdaje się, iż zajmie stanowisko więcej przeciwne.



Z krainy »Króla królów«: Nowy szach perski w kosztownym stroju koronacyjnym, w tyarze milionowej wartości.

Korzystając z antagonizmu, jaki panuje między „sunnitami" Turkami, a „szyitami" Persami, starała się Rosya już w czasie wojny krymskiej w r. 1853, a następnie w latach 1877/78 wciągnąć Persyę do swego obozu. Nie udało się to jej przecież, bo Anglia wówczas podniecała w Persyi fanatyzm religijny, który za zbrodnię poczytywał łączenie się z „niewiernymi", chociażby w walce przeciw nie cierpianym „Turkom-sunnitom", bądź jak bądź, wyznawcom nauki Mahometa. Zdaje się jednak, że Anglia się grubo przerachowała, licytując „in plus" na fanatyźmie muzułmańskim. Mężowie bowiem stanu angielscy zapomnieli chwilowo o tem, iż Anglia posiada w swych koloniach miliony mahometan, którzy, skoro obudzi się ruch, obejmujący wszystkich wyznawców Islamu, zaczną w nadzwyczajny sposób grawitować ku Konstantynopolowi, gdzie rezyduje sułtan turecki a zarazem „kalif", czyli głowa wszystkich „wiernych".



Z krainy »Króla królów«: Duchowieństwo perskie.

Otóż teraz rząd angielski wziął się na inny sposób. Pragnąc zneutralizować wpływ Rosyi, zaczął popierać zmarłego szacha, Muzaffer ed-Dina w jego liberalnych zamiarach, tak, że parlament perski został zwołany, oczywiście na podstawie pewnego rodzaju konstytucyi nadanej krajowi.

Parlament ten, noszący nazwę „Domu sprawiedliwości" składa się z przedstawicieli duchowieństwa mahometańskiego, kupiectwa i właścicieli ziemskich. Zachodziła obawa, że nowy szach, Mahomet Mirza Ali, nie będzie chciał dzielić się władzą z parlamentem — stało się jednak inaczej, gdyż po wstąpieniu na tron, zatwierdził w zupełności konstytucyjne postanowienia swego ojca.

Jak się rozwinie instytucya parlamentu w Persyi trudno z góry przewidzieć. W każdym razie jest pewnem, że Persowie, naród przeważnie aryjski, muszą posiadać w sobie zadatki tych właściwości, co inne narody tego szczepu, które doprowadziły w ciągu wieku do urządzeń konstytucyjnych.

A co jeszcze ułatwi im postęp na tej drodze, to ich bezsprzeczna większość kulturalna nad ludami, zamieszkująca zachodnie połacie Azyi. Język perski odgrywa tam bowiem rolę podobną do tej, jak język francuski na Zachodzie. Islam wprawdzie cofnął na całe wieki wstecz rozwój Persyi, lecz przy dobrej woli to spóźnienie postępu da się wyrównać. Nie ulega jednak kwestyi, że Persya, jako państwo leżące na pograniczu Rosyi, Turcyi, Afganistanu i posiadłości angielskich, musi być wciągnięta w wir polityki wielkoświatowej ze względu na tak sprzeczne cele i dążenia sąsiadów.

Sądzimy, że nie bez interesu będą dla Czytelników naszego pisma ryciny, jakie podajemy w dzisiejszym numerze, a które dają malowniczy obraz tych stron dalekich: pierwsza z nich przedstawia duchowieństwo perskie, druga zapasy atletyczne w Taszkencie, gdzie mieszka wielu Persów, a wreszcie trzecia, zebranych na podwórzu meczetu mieszkańców Teheranu, modlących się za zdrowie „Szach in Szacha", czyli króla królów, jak tytułują swego władzcę Persowie.

Jedna z dalszych rycin daje nam jego podo-



Z krainy »Króla królów«: Podwórze meczetu zapełnione modlącymi się Persami.



Z krainy »Króla królów«: Ahmed Ali, najstarszy syn nowego szacha perskiego i domniemany następca tronu.

biznę w uroczystym stroju koronacyjnym z tyarą na głowie, która ozdobiona jest dyamentami, szmaragdami i perłami o łącznej wartości 24 milionów franków. Fotografię tę zdjął syn najstarszy obecnego szacha i domniemany następca tronu, Ahmed Ali, którego podobiznę podajemy także, a który podobnie jak jego dziadek, Muzaffer-ed-Din, zdradza wielkie zamiłowanie do kunsztu fotograficznego.

Cichy bohater.

Życie ludzkie wisi na włosku. Wiedzą o tem ci, co często zmuszeni są odbywać podróże koleją żelazną, gdzie jedna chwila nieuwagi urzędnika ruchu, sprowadzić może za sobą straszną katastrofę. Takich katastrof liczy się na setki w Europie.

Niekiedy jednak zrządzeniem Opatrzności daje się uniknąć podobnego nieszczęścia, które okryłoby żałobą setki rodzin. W takich wypadkach zimna krew i przytomność funkcyonaryuszów kolejowych odgrywa pierwszorzędną rolę. Natomiast należy do bardzo rzadkich wypadków, aby osoba postronna zdołała zapobiedz katastrofie kolejowej. A taki właśnie wypadek zdarzył się w Krakowie.

Dnia 6 b. m. pociąg kuryerski wyjeżdżał z dworca krakowskiego w kierunku Wiednia o godzinie 7 minut 35 r. i skutkiem fałszywego nastawienia zwrotnicy skierowano go na tor, gdzie stały dwa podróżne wagony osobowe III. klasy, a za nimi cały pociąg ciężarowy. Katastrofa z powodu zwłaszcza mgły gęstej, zdawała się być nieuniknioną...

Na szczęście przechodził wówczas obok krytycznego punktu pan Jan Olszański, podurzędnik pocztowy, który zoryentowawszy się szybko w sytuacyi, starał się za pomocą zrzuconego z ramion płaszcza dać znak maszyniście „kuryera“, aby zatrzymał pociąg. Czynił to przy panującej wówczas mgle z narażeniem własnego życia. Skutek jego ostrzeżeń nie zawiódł jednak. Maszynista pociągu, znajdującego się w tak niebezpiecznem położeniu, użył przeciwpary i tem osłabił zderzenie się z owymi dwoma próżnymi wagonami, tak, że z podróżnych nikt nie odniósł szwanku.

Pan Olszański, którego podobiznę podajemy w dzisiejszym numerze, pochodzi ze szlachty sanockiej, lat sześć służył w wojennej marynarce austro-węgierskiej, z której wystąpiwszy w stopniu bootsmana (feldwebla) przeszedł do służby pocztowej, jeździł przez długi czas z ambulasami, a obecnie zajęty jest na poczcie na dworcu krakowskim.



Fot. W. Lis.

Cichy bohater: Podurzędnik pocztowy w Krakowie Jan Olszański, który zapobiegł wielkiej katastrofie kolejowej.

Nie wątpimy, że ratunek, jakiego dokonał, znajdzie nagrodę dobrze zasłużoną i że ten dzielny człowiek, opowiadający o swym dzielnym czynie, jako o fakcie zwykłym, podyktowanym miłością bliźniego, będzie cieszył się uznaniem wszystkich kolegów i współobywateli.

Zaburzenia na lwowskim uniwersytecie.

Pod murami lwowskiej „Almae matris“ polała się krew! Polała się krew studentów w poniedziałek zeszłego tygodnia w czasie burzliwych zajść między młodzieżą polską a ruską. Zajścia te były następstwem pamiętnego napadu hajdamackiej dziczy na gmach lwowskiego uniwersytetu. Cierpliwość młodzieży polskiej wyczerpała się. Na zebraniu swem oświadczyła publicznie, iż „żadnego z uczestników szajki, która brała udział w napadzie na uniwersytet, nie ścierpi obok siebie na ławach uniwersyteckich“. Tymczasem nastąpiło uwięzienie uczestników napadu, a wskutek tego oświadczenie młodzieży polskiej stało się — na razie przynajmniej — bezprzedmiotowem. Po kilku tygodniach jednak studentów ruskich wypuszczono na wolność. Z odzyskaniem swobody wrócili oni na uniwersytet. Wrócili butni i rozzuchwaleni ustępstwami, doznanemi ze strony sądu karnego, wrócili przechwalając się głośno odniesionem zwycięstwem i urągając polskiej młodzieży. To wywołało reakcyę. Studenci polscy postanowili sami sobie wymierzyć sprawiedliwość. I uczynili to w poniedzia. 4 marca.

Młodzież polska zebrała się już wczesnym rankiem w gmachu uniwersyteckim, a kiedy zeszli się na wykład studenci ruscy, zażądali od nich polscy akademicy oświadczenia, czy brali udział w napadzie styczniowym na uniwersytet, względnie czy się z nim solidaryzują. Od tych, którzy dali twierdzącą odpowiedź, zażądano w stanowczej formie, by mury uniwersytetu niezwłocznie opuścili. Część studentów ruskich zastosowała się dobrowolnie do tego wezwania, część jednak oparła się.

Wobec tych użyła młodzież polska siły i kolejno wyniosła ich na ramionach lub wyprowadziła poza



Fot. nadw. N. Lissa, Lwów.

Zaburzenia na lwowskim uniwersytecie: Przed głównem wejściem na wszechnicę, młodzież polska staje w postawie wyczekującej naprzeciw studentów ruskich.

obręb wszechnicy. W przeciągu niespełna godziny wewnątrz uniwersytetu nie było ani jednego Rusina.

Wyrzuceni z gmachu studenci ruscy zebrali się pod bramą, wykrzykując głośno na młodzież



Smiertelność ministrów: Minister włoski finansów, Faust Massimini, rażony atakiem apoplektycznym.

polską i odgrażając się jej ostro. Studenci polscy stanęli ławą pod bramą gmachu, jakżeby chcieli okazać, że piersiami swemi osłonią mury „Almae matris“ przed bandytyzmem ruskim. Jak widać na pierwszej naszej fotografii, przez kilka godzin stali tak naprzeciw siebie, oko w oko, studenci polscy i ruscy. Sytuacya zaś stawała się coraz bardziej groźną. Policya, która przybyła na miejsce, nie mogła utrzymać porządku i co chwila wybuchały ostre starcia słowne, mimo, iż Polacy starannie unikali tego rodzaju polemiki. Aż koło godziny 2 popołudniu przyszło do zajść bardzo smutnych, do bójki, nawet krwawej. Kilka razy ścierali się ze sobą studenci polscy i ruscy, godząc na się laskami, kaloszami i innymi przedmiotami. W czasie bójek kilku studentów obu stron odniosło cięższe lub lżejsze uszkodzenia. Dopiero po godzinie przerywanych ciągle zajść, udało się polskim studentom wyprzeć Rusinów z obrębu rampy uniwersyteckiej.

I wówczas nastąpiła podniosła manifestacya polska. Młodzież uniesiona zwycięstwem, odśpiewała pod uniwersytetem „Jeszcze Polska nie zginęła“ a następnie w pochodzie ruszyła przez miasto pod sejm a wkońcu pod kolumnę Mickiewicza, gdzie również odśpiewano pieśni patryotyczne. Zakończenie tej manifestacyi polskiej przedstawia druga nasza fotografia.

Śmiertelność ministrów.

Dziwnym zbiegiem okoliczności dwaj ministrowie włoscy, członkowie gabinetu Giolitti'ego ulegli atakom apoplektycznym prawie równocześnie. Pierwszy z nich, minister „łaski i sprawiedliwości“, Mikołaj Gallo, uległ odrazu skutkom ataku, drugi Faust Massimini, minister finansów, znajduje się dotąd między życiem a śmiercią.

Zmarły Mikołaj Gallo pochodził z Sycylii, a był nietylko jedną z najwybitniejszych sił jurydycznych włoskich, ale także bardzo znakomitym estetykiem.

Minister Massimini, Rzymianin, uchodzi za powagę w sferach finansowych i razem z Mikołajem Gallo należał do posłów, którzy grupowali się koło słynnego Zanardelli'ego. Byli więc ongi demokratami czystej wody, lecz — jak to się często w życiu politycznem zdarza — z biegiem czasu utemperowali swe polityczne zapatrywania i stali się zwolennikami monarchii i domu Sabaudzkiego.

Złote wesele.

Trudno jest przeżyć nawet lat kilka w zgodzie małżeńskiej, a cóż dopiero pół wieku i powtórzyć śluby, które tak nieopatrznie zawiera nieraz para młodych ludzi. Zdarzają się jednak wyjątkowo dobrane pary małżeńskie, które u zachodu swych dni z zadowoleniem wewnętrznem patrzą wstecz na ubiegłą przeszłość, jako para dobranych przyjaciół, co dzieliła dobre i złe losy.

Taką parę staruszków, co w przykładnej zgodzie przeżyli lat pięćdziesiąt i temi dniami obchodzili złote wesele, podajemy dziś w udatnej po-



Smiertelność ministrów: Włoski minister sprawiedliwości, Mikołaj Gallo, zmarły nagle.

dobiźnie. Są to państwo: Franciszek i jego żona Agnieszka Goławieccy, powszechnie znani i szanowani obywatele miasta Zatora. On uczestnik powstania z roku 63 go liczy lat 74, jego małżonka zaś jest odeń o dwa lata młodszą.

Zasyłamy tej parze rześkich, sympatycznych staruszków życzenia: „Ad multos annos!“ Oby doczekali setki lat i świecili przykładem młodszemu pokoleniu, jak należy żyć w zgodzie przykładnej w małżeństwie.



Fot. nadw. N. Lissa, Lwów.

Zaburzenia na lwowskim uniwersytecie: Manifestacya patryotyczna młodzieży polskiej po usunięciu studentów ruskich z wszechnicy.

Walka o milion.

Powieść na tle notatek amerykańskich detektywów

przez M. Walter

tłomaczył z angielskiego B. Felicyan

11 (Ciąg dalszy).

Dziewczyna poczytywała to sobie za zaszczyt, że może zarządczynię domu wyręczać w pisaniu listu, więc oczywiście z całą gotowością podjęła się tego.

Tymczasem Laura i Nelly zwiedzały wszystkie pierwszorzędne handle, zatrzymując się w nich dość długo, bo kuzynek Artur okazywał wiele naiwnej ciekawości, wszędzie się gapiowato rozglądał.

Nareszcie zatrzymały się w State Street przed bardzo wspaniałym magazynem, gdzie spotkały trzech młodych mężczyzn.

Jeden z nich ukłonił się bardzo uprzejmie, Laura odpowiedziała na ukłon przyjacielskim uśmiechem, a Nelly Brown dała mu znak, aby się zbliżył i stanął przy niej, powiedziała mu kilka słów po cichu.

Dwaj towarzysze przywołanego przez pannę Brown mężczyzny zatrzymali się na boku i przypatrywali się obu paniom.

— Patrz Ferrars, ta dziewczyna, co zawołała Fergusa, to panna Brown, czyli dama z opalami, a jej towarzyszka, to pewnie panna Durand, pierwszy raz ją widzę, ależ na Boga, to dziwne.

To rzekłszy Jocellyn wpatrywał się w Laurę z napiętą uwagą, szczególniej jej oczy dziwne w nim budziły wspomnienia.

Natomiast Ferrars nie odrywał oczu od Nelly Brown.

— Kto ta dziewczyna? kto? — pytał Jocellyna.

— Wszakże ci powiedziałem, że to dama z opalami; mieszka w domu przytykającym do nieszczęsnej willi Arteveldta.

— Ciekawe, ciekawe — mówił do siebie Ferrars.

Tymczasem Fergus odłączył się od kobiet, wrócił do towarzyszy i poszli wszyscy trzej razem.

Kobiety wsiadły do powozu i pojechały do pensyonatu pani Rogers, gdzie Nelly wysiąść chciała. Po drodze sięgnęła do kieszeni i spostrzegła, że nie ma portmonetki. Rzuciła podejrzliwie okiem na Laurę, będąc przekonaną, że towarzyszka dla owego skrawka czarnej materyi portmonetkę jej ukradła.

XXII.

Spadkobierczyni miliona.

Francis Ferrars przez ośm dni krążył wciąż około owej apteki, przed którą Leonora Stuartowi zniknęła. Nabrał przekonania, że nigdzie daleko od owego miejsca odbiegnąć nie mogła, bo Stuart byłby ją przecież dopatrzył, skoro puścił się za nią w przyległe ulice; nasunęła mu się też uwaga, że może pod pozorem zasłabnięcia do apteki weszła i przypadkowo w domu aptekarza schronienie znalazła.

Dlatego zaglądał codziennie do apteki pod różnymi pozorami; zawsze tam coś kupił i rozmowę z aptekarzem zawiązywał.

Atoli mimo najrzeczniejszych zabiegów niczego dociec nie zdołał. Już nawet tracił nadzieję wszelką, gdy pewnego wieczoru, przechodząc koło apteki, spostrzegł, że okna na pierwszem piętrze nie zasłonięto storami.

Wpatrzył się w nie i zobaczył dwie kobiety, jak przez okna spoglądały na oświetloną ulicę, żywo z sobą rozmawiając.

Jedna była to osoba starsza, o szlachetnym i rozumnym wyrazie twarzy, a druga młoda, piękna, okazałej postaci. Wiedział dobrze, że w całym domu nie mieszka nikt inny, prócz aptekarza i jego żony, tudzież dwojga służby.

Owa młoda osoba jest zatem albo gościem, albo też dziedziczką milionowego dziadka.

Jeżeli jest gościem, to zapewne przez noc nie zostanie. Ferras pozostał przez całą noc na stanowisku i nie spuszczał z oka apteki. Gość nie wyszedł, a zatem znalazła się poszukiwana dziedziczka milionowego dziadka.

Co teraz czynić? Jeżeli się ukrywa, to niezawodnie aptekarz nie odsłoni jej incognita, a dopytywanie może nawet ją spłoszyć.

Trzeba działać odrazu, stanowczo i ryzykować, że może wyniknie z tego jaka pomyłka. Korzystając z chwili, kiedy aptekarz bardziej niż zwykle był zajęty, wszedł Ferrars śmiało na pierwsze piętro otworzył wytrychem drzwi klatki schodowej, potem przeszedł kilka schodów i zatrzymał się przed drzwiami mieszkania. Usłyszał w pokoju rozmowę kobiecą, więc zapukał do drzwi i nie czekając odpowiedzi, otworzył je i wszedł.

Przy stole siedziały te same kobiety, które wczoraj wieczorem widział w oknie. Ukłonił się z właściwą sobie elegancyą i rzekł bez najmniejszego zakłopotania:

— Panie wybaczą, że przychodzę tak niespodzianie. Zależało mi na tem, żeby jak najprędzej pomówić z panną Leonorą Armyn.

Leonora zerwała się z krzesła i spojrzała na Ferrarsa niespokojnie. To go upewniło, iż się nie pomylił.

— Pani wybaczy, że tak obcesowo tu wszedłem, ale pewien jestem przebaczenia, skoro się pani dowie o wszystkiem.

— Czego pan żąda? — zapytała Leonora cokolwiek uspokojona, przypatrzywszy się uczciwej twarzy Ferrarsa.

— Jestem najżyczliwszym przyjacielem pani i przybywam po to, aby panią ochronić od prześladowań zawziętego wroga. Jeżeli mi pani ufa, opowiem wszystko; a jeżeli pani mniema, że na zaufanie nie zasługuję, oddalam się natychmiast.

— Jak pani sądzi, pani Welkins—zapytała Leonora.

— Może ten pan pragnie coś ważnego powiedzieć, dlaczegóż go nie wysłuchać? — odpowiedziała starsza kobieta. — Jednak pragnęłabym wiedzieć z kim mam przyjemność mówić?

Ferrars uśmiechnął się i z poczciwą jowialnością odpowiedział:

— Jestem pewien, że będziecie panie cierpliwej i chętniej słuchały, nie wiedząc jeszcze, kim jestem. Popełniam wielki grzech towarzyski, nie przedstawiając się paniom, ale ten grzech w tej chwili jest bardzo potrzebny.

To powiedziawszy, dobył z portfelu papiery i podał je Leonorze. Ona spojrzała na nie i ogarnęło ją głębokie wzruszenie. Były to listy jej matki do Bradmardina pisane.

— Skąd pan wziąłeś te listy? — spytała Leonora.

— Odebrano je wrogowi pani, Jasonowi Bradmardine.

— Czy pan go zna?

— Tak pani. Tego nikczemnika trudno nie znać tym, którzy panią otaczają największą życzliwością.

W tej chwili wszedł aptekarz i zobaczywszy obcego człowieka, stanął zdumiony, mierząc Ferrarsa pytającym wzrokiem.

Leonora tłomaczyła aptekarzowi, że przybysz ma być jej przyjacielem i że właśnie zamierza opowiadać o sprawach, które są dla niej nadzwyczaj ważne.

— Czy mogę i ja wziąć udział w tej rozmowie? — zapytał aptekarz.

— Najgoręcej o to pana proszę — odpowiedziała Leonora.

— Co do mnie — wtrącił Ferrars — to powiem szczerze, że pańska obecność bardzo pożądana. A teraz proszę posłuchać ciekawej historyi. Jakoś mniej więcej przed dwudziestu laty wyjechał w podróż jedyny syn bogatego pana angielskiego. Zatrzymawszy się we Francyi poznał tam uroczą pannę, córkę szlachcica francuskiego, który niegdyś ożenił się z piękną i zacną wieśniaczką włoską. Ten mezalians usunął go od rodziny, więc żył na uboczu, wychowując najstaranniej jedyną swoją córeczkę, bardzo piękną i zacną, właśnie tę, z którą ów jedynak angielskiego pana się ożenił, wbrew woli swojego ojca. Ojciec wybrał dla niego narzeczoną w Anglii, córkę jednego z najpoważniejszych lordów, więc dowiedziawszy się o potajemnem małżeństwie syna, oburzył się niezmiernie i małżeństwo zerwać postanowił.

Młoda para żyła tymczasem w południowej Francyi w ukryciu, ciesząc się wzajemną najtkliwszą miłością. Szczęście młodych ludzi wzmogło się jeszcze, gdy ich Bóg obdarzył córeczką. Żyli w ukryciu, o którem nikt nie wiedział, prócz jednego człowieka. Był to daleki krewny młodego Anglika, oświadczający mu się z przyjaźnią i serdecznością bez granic. Młody Anglik ufał mu zupełnie; tymczasem ów przyjaciel doniósł anonimowym listem ojcu młodego Anglika, gdzie się młoda para znajduje a zarazem, pod jakimś pozorem nakłonił przyjaciela do wyjazdu do Anglii na czas krótki. Młoda mężatka została w domu sama z dziecięciem, wtedy przybywa ojciec jej męża w sposób szorstki, bezwzględny, czyni jej wyrzuty i wręcz oświadcza, że tego małżeństwa nie uzna i synowi do niej wrócić nie pozwoli. Biedna kobieta zalała się łzami i nie mogła obronić się niczem przed dotkliwą zniewagą.

Dumny pan wyjechał, syn jego nie wracał, więc biedna kobieta niepokoiła się bardzo sądząc, że mąż ulegnie rozkazom ojca i porzuci żonę i dziecko. Tymczasem ten mąż zapadł w ciężką chorobę i całe tygodnie spędził między życiem a śmiercią, a natomiast przybył ów kuzynek i przyjaciel i okazując największe współczucie opuszczonej kobiecie, zapewniał ją, że mąż do niej nie wróci, że czyni starania o zerwanie małżeństwa i dodał jeszcze, że jego ojciec czyha na życie jej i jej dziecka. Nieszczęśliwa uwierzyła mu z całem zaufaniem.

Lęk o dziecko, obrażona duma kobiety, opanowały ją zupełnie. Postanowiła więc ukryć się, aby jej i jej dziecka mściwa ręka dumnego pana angielskiego nie dosięgła. Miała wielki żal do męża, ale mu nie złorzeczyła. Zmieniała wciąż miejsce pobytu, stosując się do wskazówek fałszywego przyjaciela. Tymczasem mąż wyzdrowiał i pospieszył do żony. Nie zastawszy jej, szukał pełen niepokoju, dopóki fałszywy przyjaciel go nie zapewnił, że ta żona niegodną jest jego miłości, bo z jakimś Włochem uciekła. Nieszczęśliwy człowiek uwierzył fałszywemu przyjacielowi, popadł w rozpacz i umarł złamany żalem i tęsknotą.

Owym fałszywym przyjacielem, owym sprawcą całego nieszczęścia był: Jason Bradmardine. Postanowił zgubić jedynaka bogatego pana, aby pozyskać milionową sukcesyę.

Zawadzała mu jeszcze córka przyjaciela, więc śledził ją i ścigał aż do tej chwili, chcąc ją życia pozbawić. Ale ta jego walka o milion daremna. Ów pan angielski jest wprawdzie człowiekiem dumnym ale zacnym i honorowym. Zacność nakazuje mu przytulić dziecko swojego jedynego syna i wynagrodzić mu te krzywdy, jakich jego rodzice doznali; poczucie honoru nie dozwala mu oddać swojego mienia w ręce człowieka, którym pogardza. Dlatego polecił mi, abym wyszukał mu wnuczkę i przywiózł ją do Anglii, gdzie na nią czeka milionowy spadek i serce kochającego dziadka. Zjeździłem wszystkie kraje Europy, kilka lat spędziłem w podróży i wreszcie znalazłem cię, pani. Panno Leonoro Armyn racz pospieszyć do zamku swoich praojców i przybrać należne tobie nazwisko!

To powiedziawszy, Ferrars wstał z krzesła i ukłonił się Leonorze ceremonialnie. Nastała pauza.

Leonora zamyśliła się głęboko; wyglądała jak we śnie pogrążona. Dopiero po długiej chwili przetarła czoło, westchnęła głęboko i spytała z odcieniem smutku i niepokoju:

— Pan jesteś zapewne ajentem policyi?

— Tak jest, milady. Nazywam się Francis Ferrars, Scotland Yard.

— Zdaje mi się, że pańskie posłannictwo daremne, bo moje przeznaczenie takie, abym dla świata przepadła w zapomnieniu, równie jak moja matka.

— O nie, milady. Wiem dobrze, dlaczego pani to mówi. Zapewniam najuroczyściej, że wszelkie obawy są bezpodstawne. Poznałem wszystkie okoliczności, które panią skłoniły dwa razy usunąć się przed opieką najlepszego swego przyjaciela, p. Nelly Stuarta. On z całem wysileniem pracuje nad tem, żeby wykryć prawdziwego zbrodniarza, a panią uwolnić od wszelkiego niepokoju. Pomaga mu w tem jego przyjaciel Jocellyn, a teraz i ja się do nich przyłączyłem. Niech pani z całem zaufaniem powierzy nam swe losy.

Taka była w tem przemówieniu stanowczość, tyle w twarzy Ferrarsa malowało się poczciwości, że nie można było wątpić w jego szczerość. Aptekarz podał rękę Ferrarsowi i rzekł, zwracając się do Leonory:

— Pod taką opieką odzyskasz spokój i szczęście!

XXIII.

Niezwykły złodziej.

Laura użalała się bardzo na ból głowy i przeprosiwszy kuzynka, że go samego zostawić musi, udała się do swego pokoju. Pani Richards zaniepokoiła się bardzo cierpieniem Laury, przyszła też zaraz, aby jej doradzić lekarstwo.

— Ot, najlepiej niech się pani położy wcześnie do łóżka i wyśpi spokojnie, a głowa boleć przestanie. Zrobimy kompresik na głowę, to także będzie dobrze.

Laura usłuchała. Kazała się pokojówce rozebrać i weszła do łóżka. Pani Richards przyrządziła jej kompresy i doradziła napić się wody; nawet nalała jej sama do szklanki, przyczem niepostrzeżenie wpuściła tam kilka kropel płynu, który miała we flaszce przy sobie.

— Szklanka świeżej wody także przyczyni się do uspokojenia bólu.

Gdy Laura istotnie spragniona wypiła podaną sobie wodę, troskliwa zarządczyni przyłożyła jej nowy kompres, także niepostrzeżenie jakimś płynem pokropiony i odeszła, zostawiwszy płonącą świecę na szafeczce przy łóżku.

W godzinę potem otwarły się cicho drzwi sypialni i wszedł ostrożnie zamaskowany mężczyzna otulony czarnym płaszczem. Zbliżył się jak cień ku śpiącej Laurze, wziął świecę płonącą i przesunął ją przed oczyma śpiącej, ale nawet nie drgnęła. Wtedy wsunął rękę pod poduszkę, wyjął klucze i poszedł do przyległego buduaru.

Tu otworzył małą elegancką szafeczkę i przy świetle krytej latarki rozpoczął przegląd tego, co się w onej szafce mieściło.

Najpierw nasunęła mu się w rękę szkatułka z precyozami; były tu brylanty, dyamenty, szmaragdy i szafiry niezwykłej wartości, a prócz tego drogocenny naszyjnik z pereł. W innej szkatułce był zegarek damski wysadzany brylantami, z wyrytym napisem: „Kochanej Laurze od ojca“. Znalazł też elegancki rewolwer angielskiego wyrobu, całkowicie nabity.

Potem położył wszystko na właściwem miejscu, szafkę zamknął, a otwierał po kolei stoliki, komody, szafy, kuferki. Zaglądał ciekawie za obrazy, za zwierciadła, nie pominął żadnego sprzętu, badał wszystkie meble, wreszcie dostrzegł w kącie elegancki kufer. Zamknięty był na trzy zamki. Otworzywszy kufer, znalazł tu wąską szkatułkę, pokrytą skórką marokańską i dwa cienkie pakieciki. Przypatrzywszy się temu, schował jedno i drugie do kieszeni płaszcza.

Teraz ponownie zajrzał do kufra i spostrzegł czarną torebkę podróżną. Była zamknięta; szczęśliwie dobrał klucz do niej i otworzył. O mało nie krzyknął z radości. Zabrał ją również ze sobą i wyszedł ze zdobyczą.

W pół godziny wrócił i wszystko tak poukładał na właściwem miejscu, żeby najmniejszy ślad nie pozostał, że tu coś ruszano. Włożył klucze pod poduszkę śpiącej i zniknął.

Zaczęło świtać. Laura zbudziła się z głębokiego snu. Była widać czemś zaniepokojona, bo wstała prędko, ubrała się i niecierpliwie chodziła po pokoju.

— Co czynić? — szeptała do siebie — dowierzać jej nie mogę. Bądź co bądź, mogłaby mnie zgubić, To, co mi wczoraj powiedziała, jest bardzo niebezpieczne. Najlepiej będzie, jeżeli to wszystko wrzucę do wody. Czas ostateczny. Dowierzać jej nie mogę.

Wzięła klucze z pod poduszki, otworzyła kufer, wyjęła ową czarną torebkę podróżną, którą się tak bardzo zagadkowy złodziej ucieszył, ukryła ją poza zarzutką i wyszła z domu.

Nikt jej nie widział z domowników, bo służba jeszcze spała, a bramę otworzyła sobie kluczem własnym.

Na ulicy było jeszcze zupełnie pusto; Laura zdążała prędko i nie zwróciła na to uwagi, że ktoś szedł za nią o kilkanaście kroków. Zbliżywszy się do mostu rzuciła prędko do wody wyjętą z pod zarzutki torebkę podróżną. Zatrzymała się chwilę na moście, czekając, rychło torebka zatonie, poczem wróciła do domu. Teraz już nikt za nią nie postępował.

XXIV.
Bal maskowy.

Panna Harris oburzyła się niezmiernie na Kubańczyka. Poszła według adresu, który jej podał, do owych śpiewaczek angażowanych do Hawanny, lecz przekonała się, że daremnie straciła kilka godzin czasu, bo nigdzie takich kandydatek do sceny nie było. Nie mogła pojąć co to znaczyło? Albo Kubańczyk pomylił się w adresie, albo też owe śpiewaczki z niego sobie zażartowały. Oczywiście, że ani na chwilę nie domyślała się ona całej prawdy.

Wróciwszy do mieszkania fałszywej siostry Kubańczyka, spostrzegła list do siebie adresowany, założony za klamkę. Otworzyła go z największą niecierpliwością i przeczytała co następuje:

„Łaskawa Pani!

Człowiek, który się pani przedstawił jako Sennor Castro, Kubańczyk i dyrektor teatru w Hawannie, jest nikczemnym oszustem i zwykłym oszustem. Zwabił panią i pani uczennicę do tego mieszkania, ażeby nieszczęśliwą dziewczynę dostać w swoje ręce. Dlatego też wyprawił panią z domu do nie istniejących śpiewaczek, aby mógł bez przeszkody i bez świadków znęcać się nad bezbronną dziewczyną.

Byłby ją udusił, gdybym w samą porę na pomoc nie pospieszył.



— Panie wybaczą, że przychodzę tak niespodziewanie Zależało mi na tem, aby jak najprędzej pomówić z panną Leonorą Armyn.

Niechże mu pani żadnej nie użyczy pomocy.

Ajent policyi“.

Śpiewaczka przeraziła się tym listem, a jeszcze bardziej oburzyła na zuchwalca, który wywiódł ją w pole. Ostrożnie i cicho wsunęła się do pokoju Leonory. Zaledwie drzwi otworzyła, usłyszała głos Bradmardina:

— Napadnięto mię, pomocy! proszę poprzecinać sznury!

W pierwszej chwili ogarnęło śpiewaczkę jakieś niedowierzanie do listu, który otrzymała. A może istotnie sennora Castro napadli złodzieje, obrabowali go i związali potem, ażeby utrudnić pościg za sobą. Przypatrzyła się skrępowanemu i przez chwilę namyślała, co robić. Przypomniawszy sobie sprawę śpiewaczek, których nigdzie nie było, wpadła na pomysł, aby rzecz sobie wyjaśnić pytaniem o nie.

— A jakiż to pan podałeś adres? Pod tym adresem nietylko nie mieszkają wcale śpiewaczki, ale nawet domu takiego niema — spytała panna Harris.

— Nie nudź mię pani temi głupstwami; zapłaciłem pani za to, a i teraz jeszcze zapłacę, jeżeli mi pani pomożesz uwolnić się z tych więzów.

Taka odpowiedź przekonała śpiewaczkę, że list zawierał treść rzetelną. Wtedy nie krępowała się już niczem i bez litości znęcała się nad oszustem:

— I któż to pana napadł? Może tacy sami Kubańczycy, jak i pan? Dlaczego wcisnąłeś się do mojego domu, niegodziwy oszuście? Po coś się tu wdarł do pokoju mojej uczennicy?

— Daj pani pokój tej głupiej paplaninie, zapłacę ci, ile zechcesz, tylko mi pomóż, abym się stąd czemprędzej wydobył.

— O, mój szanowny panie Castro, dyrektorze teatru z Hawanny, wiedz o tem, że ja od oszustów pieniędzy nie przyjmuję. A teraz rozmyślaj sobie, sennor Castro nad tem, że Bóg czuwa nad sierotami i użycza im pomocy i ochrony przed takimi łotrzykami. Bądź pan zdrów!

Zaśmiała się szyderczo, pozbierała swoje rzeczy i wyszła.

Bradmardine pienił się ze złości; liczył na pewne na to, że panna Harris wróciwszy, wyzwoli go z więzów; tymczasem nietylko mu nie pomogła. ale jeszcze dotkliwie z niego szydziła. Zaczął wołać i krzyczeć co sił, ale i to na nic się nie zdało. Zapomniał, że umyślnie wynajął mieszkanie na piętrze zupełnie pustem, ażeby mu nikt w napadzie na Leonorę nie przeszkodził i aby nikt nie usłyszał jej głosu, gdyby o pomoc wołała.

Teraz sam wpadł w te sidła, które na nią nastawił.

Dopiero około godz. 9-ej wieczorem otrzymała straż policyjna kartkę od Stuarta:

„W domu, Wood Street Nr. 8, leży na pierwszem piętrze człowiek skrępowany na rękach i nogach. Jestto wprawdzie niebezpieczny drab, ale na razie można go oswobodzić i puścić“.

Dzięki tej karteczce uwolnił się wreszcie Jason Bradmardine od tej srogiej pokuty. Przeleżał dwanaście godzin bez ruchu, na twardej posadzce, skrępowany, oczywiście wygłodniały; więc też poprzysiągł straszną zemstę sprawcy tej pokuty. Przez całą noc mimo umęczenia knuł rozmaite plany.

W pierwszych dniach po tej przygodzie zabrał się z zadziwiającą gorliwością do rozczytywania się we wszystkich dziennikach, które jakiekolwiek wiadomości o arteveldtowskiej tragedyi podawały. Najgorliwszy badacz, najsumienniejszy uczony nie mógł bardziej wyczerpać źródeł od Bradmardina. Skoro całą sprawę poznał najdokładniej, postanowił zemsty dokonać.

Jakoż pewnego dnia przybył do pani Arteveldt z oznajmieniem, że chce z nią pomówić o sprawie nader ważnej. Przyjęła go, a widać umiał ją zaciekawić, skoro go nietylko u siebie przez całą godzinę zatrzymała, ale nawet potem codzień do niej przychodził.

W kilka dni potem zjawił się w domu pani Arteveldt inny nieznajomy, który pragnął pomówić z panną Kate Scaton, czuwającą wciąż jeszcze jak anioł opiekuńczy nad nieszczęśliwą matką za mordowanego młodzieńca.

Gdy go przyjęła, wręczył jej list następującej treści:

„Oddawcą jest Francis Ferrars, mój przyjaciel i najgorliwszy, najszczerszy obrońca panny L. Ponieważ przybyć nie mogę, przez niego upraszam o wyświadczenie mi wielkiej przysługi. Bardzo mi na tem zależy, abym mógł otrzymać klucze zamkniętego domu Arteveldta. Potrzebuje ich niezmiernie mój przyjaciel Stuart, również najgorliwszy obrońca i najszczerszy przyjaciel p. L. Proszę tak z kluczami postąpić, aby p. Arteveldt o niczem nie wiedziała. W końcu dzielę się z panią miłą wiadomością, że panna L. jest zupełnie bezpieczna. Pełen poważania i przyjaźni

Robert Jocellyn“.

(Ciąg dalszy nastąpi)

Z wroga — przyjaciel.

Bohaterskie walki, jakie staczali w ciągu lat trzech oniemal Boerowie z Anglikami, zdawały się zapowiadać, że Anglicy, zostawszy zwycięzcami, dadzą uczuć swą przewagę zwyciężonym. Tymcza-



Z wroga przyjaciel: Głośny bohater i wódz boerski Ludwik Botha, obecnie prezydent ministrów w Transwaalu

sem stało się inaczej. Mężowie stanu Wielkiej Brytanii, kierując się wrodzonym taktem i rozumem politycznym, nadali podbitej rzeczypospolitej południowo afrykańskiej, Transwaalowi, bardzo obszerną autonomię. I nie dość na tem, bo na czele gabinetu tej kolonii stanął były generał boerski, Ludwik Botha, zastępca głównodowodzącego generała Jouberta, a zwycięzca w krwawych bitwach pod Colenso i Spionskop, którego portret podajemy w dzisiejszym numerze.

To wspaniałomyślne postępowanie Anglików nasuwa mimowoli porównanie co do postępowania innych rządów w analogicznych wypadkach.

I tak: dziennik „Russkija Wiedomosti“, omawiając ostatnie wybory, dokonane w Transwaalu, pisze między innemi:

„Wybory w Transwaalu są bardzo interesujące. Zaledwie upłynęło $4^1/_2$ roku od chwili, gdy w Afryce południowej ukończyła się wojna, której wynikiem był ostateczny podbój rzeczypospolitej transwaalskiej i przyłączenie jej jako kolonii angielskiej do metropolii. — Anglia uspokaja ją zupełnie przez nadanie szerokiej i zupełnej autonomii. Na czele parlamentu stoją ministrowie: Botha, Smuts, de Villers i inni wodzowie powstania. Aby dać czytelnikowi rosyjskiemu konkretniejsze wyobrażenie o tem, co się obecnie dzieje w Transwaalu, pozwolimy sobie narysować następujący obrazek. Oto np. Polska w 1868 r., t. j. w cztery lata po powstaniu, otrzymuje taką autonomię, jaką mają Węgrzy w Austryi. Następują wybory bez żadnego nacisku ze strony rządu. Polacy posyłają do swego sejmu większość narodową i stosownie do tego ministrami zostają Mierosławski, Majewski, Krzemiński i inni doradcy lub członkowie rządu narodowego“.

Do powyższych słów rosyjskiego dziennika możemy dodać od siebie tę uwagę, że rząd rosyjski z pewnością nie miałby powodu żałować, gdyby względem Polaków trzymał się podobnego systemu postępowania, jakiego Anglicy chwycili się wobec pobitych Boerów. Dziś bowiem z ich największego wroga stał się lojalnym poddanym króla Edwarda generał Ludwik Botha.

Śmierć pod kołami pociągu.

(Do illustracyj na stronie 4).

Ostatnie tygodnie obfitowały w wypadki nieszczęśliwe zwłaszcza na kolejach galicyjskich. Na różnych liniach zginęło w ciągu niewielu dni aż kilkoro ludzi. Do jednego z takich wypadków tragicznych załączamy 3 zdjęcia fotograficzne naocznego świadka. Katastrofa zdarzyła się w czwartek ubiegły o pierwszej po południu przy słonecznej pogodzie między Chabówką a Jordanowem. Pociąg, dążący z Zakopanego do Krakowa, przystanął nagle w szczerem polu, co wywołało zaniepokojenie wśród podróżnych. Jak widać właśnie na jednej z naszych rycin, wychyliło się mnóstwo głów z okien wagonów, a jedne po drugich zaczęły się drzwi otwierać i pasażerowie zasypywali konduktorów pytaniami, co zaszło. Okazało się, że pociąg przejechał nieznajomą kobietę. Istotnie kierownik pociągu znalazł na plancie zwłoki nieszczęśliwej z ranami na karku i rękach. Była to młoda, może 20 kilka lat licząca góralka, jak można było wnosić, zasobna gospodyni wiejska z okolicy. Zapewne miała głowę zawiniętą grubą chustką, skutkiem czego nie dosłyszała poza sobą nadjeżdżającego pociągu. Ponieważ było to na zakręcie, maszynista nie mógł zauważyć idącej i lokomotywa wpadła na nią w biegu. Pług, (znajdujący się stale zimą przy górskich pociągach) odrzucił ją na bok, lecz ubranie zaczepiło się o blachę, wobec czego lokomotywa wlokła nieszczęsną kilkaset metrów dalej i zabiła. Prócz potarganej odzieży, stwierdzono bowiem przy oględzinach zwłok nieznajomej, iż jedna strona twarzy była otłuszczona i poczerniała, druga zaś pokrwawiona. Zdjęto z głowy



Pierwsze domy urzędnicze w Krakowie, projektowane i wykonane przez architekta Romana Bandurskiego.

góralki chustkę i okryto nią zwłoki, które pozostawiono w tym stanie — jak widać na naszej rycinie — do zejścia na miejsce komisyi. Tymczasem zaś prowadzący pociąg spisał protokół przy zwłokach. Chwilę tę również uprzytomnia trzecia z naszych fotografij, a zawdzięczamy je uprzejmości jednego z podróżnych, p. S. S. z Zakopanego, który przy tem smutnem zdarzeniu skorzystał ze swego aparatu amatorskiego.

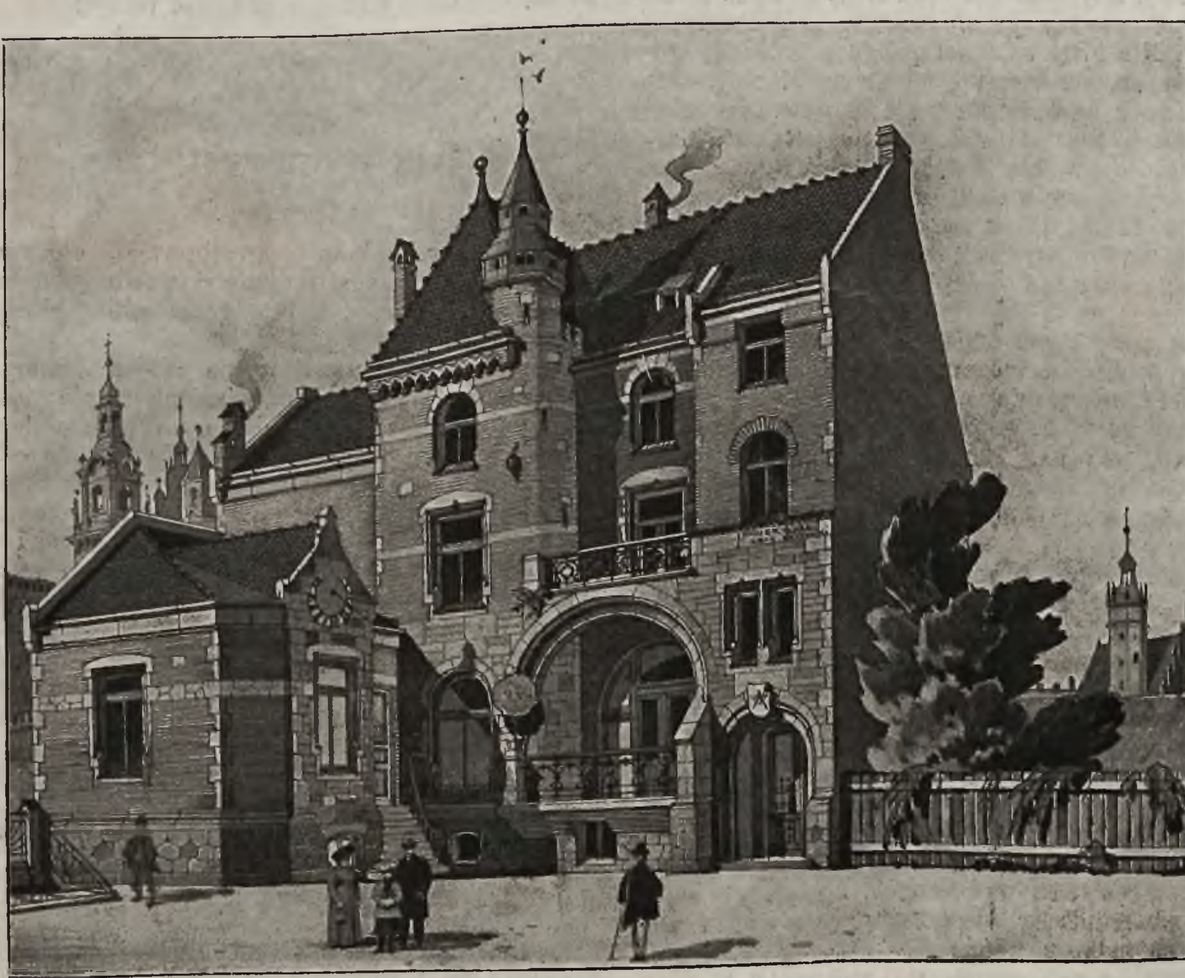
Pierwsze domy urzędnicze w Krakowie.

Wzrastająca drożyzna mieszkań, drożyzna, która się daje odczuć przedewszystkiem jednostkom ekonomicznie słabym, pobudziła i nasze społeczeństwo do zrzeszania się i do podjęcia wspólnemi siłami niemożliwej dla jednostki walki z drożyzną mieszkań.

Z inicyatywy prywatnej dra Stanisława Liebermana powstało z końcem roku 1905 pierwsze w Galicyi Towarzystwo budowlane urzędnicze na samopomocy oparte i na zysk nieobliczone. Założenie Stowarzyszenia powitano, jak zawsze u nas, z pewną nieufnością. Najbardziej życzliwi zajęli wyczekujące stanowisko. Cóż można zrobić z kwotą udziałową tylko 100 koron wynoszącą — pytali się jedni; wnukowie doczekają się owoców tej wzorowej pracy — mówili drudzy. Stowarzyszenie jednak nie ustawało w pracy i wbrew oczekiwaniu sceptyków, już po kilku miesiącach doczekano się owoców.

Stowarzyszenie zakupiło znaczny kompleks gruntów w Podgórzu, a w Dębnikach wybudowano przy ulicy Podgórskiej dwa piętrowe domy mieszkalne dla czterech rodzin.

Domy te projektowane i wykonane przez powszechnie cenionego i wielokrotnie na konkursach odznaczonego architekta p. Romana Bandurskiego, to nie nasze wstrętne koszary, to tanie, a jak widać na załączonych rycinach, pełne smaku artystycznego i z wszelkim nowoczesnym komfortem urządzone wille, wśród zieleni i ogrodów.



Pierwsze domy urzędnicze w Krakowie, na Dębnikach, projektowane i wykonane przez architekta R. Bandurskiego.

Kronika tygodniowa.

Wprawdzie otwarcie drugiej Dumy rosyjskiej nie wywołało takiego wrażenia i nie spowodowało takiego gorączkowego oczekiwania, jak kiedy pierwszy raz otworzyły się podwoje pałacu Taurydzkiego, ale w każdym razie stało się ono dominującym wypadkiem w dziedzinie światowej polityki. Walka z kościołem we Francyi, klęska socyalistów w Niemczech, powszechne prawo głosowania w Austryi — wszystko to są fakta zapewne doniosłe i interesujące, ale bądź co bądź należą do kategoryi spraw wewnętrznych jednego państwa. Co innego dążenie do zmiany formy rządu w Rosyi, w tym ogromie skupionych lądów, stanowiącym połowę przeszło Europy i piątą część Azyi. Przeobrażenie się wewnętrzne tego ogromu może mieć wpływ na całą politykę światową, a co najmniej na ukształtowanie się stosunków europejskich. Rosya rządzona absolutnie, a Rosya konstytucyjna to dwie wielkości napozór tylko równe, a w rzeczywistości całkiem odmienne. Zresztą Rosya konstytucyjna to określenie jeszcze bardzo szerokie, to może być zarówno Rosya centralistyczna, jak federacyjna, lub autonomiczna, to może być Rosya konserwatywna, liberalna, demokratyczna, nacyonalistyczna, socyalistyczna, komunistyczna... Nigdzie niema tyle „prawic“ i „lewic“ odmiennego pokroju, wprost przeciwnych sobie kierunków. Więc przyszłe ukształtowanie się Rosyi, przyszły ustrój jej całości i części, to wielka zagadka, do której rozwiązania może się przyczynić zwołana Duma. A może nie przyczyni się całkiem, może powiększy tylko istniejący chaos, może nietylko nie wprowadzi skołatanego okrętu do spokojnej przystani, ale powierzy na nowo los jego falom wzburzonego morza. Może będzie chciała pracować, ale jej pracować nie dadzą; może wytrzeźwi się po pijatyce frazeologicznej swej poprzedniczki, a może zacznie na nowo podniecać się alkoholem utopij, musującym szampanem frazesów; może będzie żyła długo i owocnie, a może w kilka chwil po urodzeniu powiększy grono „aniołków“.

Zdaje się jednak, że do tego ostatniego może sama Duma nie zechce przyłożyć ręki. Wydaje się być ostrożną i powściągliwą (tylko socyaliści trzymają się starej metody), zapewne w przewidywaniu, że gdyby ją powtórnie rozpędzono, to nastąpiłaby długoletnia przerwa w jej życiorysie, czyli, mówiąc po prostu, trzeciej Dumy by już nie zwoływano, a poprzestano na samej Radzie Państwa. W tej obawie o życie Duma wydaje się być skłonną do paktowania z rządem, a przynajmniej do niedrażnienia go. O adresie do tronu niema jakoś mowy, a w adresie takim mogłyby się znaleźć rzeczy niecenzuralne. Sprawie amnestyi większość lewicy wbrew socyalistom, postanowiła na pewien czas odłożyć. Wogóle lewica rozpada się coraz więcej, a więc znika obawa o jej hegemonię. Żadne stronnictwo nie ma decydującej przewagi, która rodzi zarozumiałość i lekceważenie reszty. Stąd prawdopodobnie rozpoczną się układy, targi, ustępstwa, dzięki czemu może nikt majoryzowanym nie zostanie.

To może właśnie stanowić siłę „Koła Polskiego“ i związanych wprawdzie w osobną grupę, ale będących z Kołem w ścisłem porozumieniu posłów polskich z Litwy i Rusi. „Koło“, w którem za pierwszej Dumy panowało bezkrólewie, obrało sobie obecnie prezesa w osobie posła Romana Dmowskiego. Nie z wieku, nie „z urzędu“, a z siły faktów ten zaszczyt mu się należał. Stronnictwo narodowo-demokratyczne stanowi olbrzymią większość „Koła“, a duszą tego stronnictwa jest Dmowski, on pracował nad jego założeniem, on mu wytyczył program, on je zorganizował.

Inna rzecz, czy zrobił dobrze sam dla siebie, przyjmując tę godność, czy na stanowisku leadera partyi nie miałby większej swobody działania, a mniejszej odpowiedzialności. Z drugiej strony jednak nie ulega wątpliwości, że on jeden w gronie posłów polskich nad Newą przeszedł szkołę polityczną, przez kilkanaście lat żyjąc w państwach konstytucyjnych, obeznawszy się z parlamentarnymi stosunkami, formami i „sztuczkami“. On jeden też rzucił w Warszawie słowa, że polityka to targ, to interes, co oburzyło naiwnych, ale co (niestety!) jest prawdą najprawdziwszą. Jako więc człowiek trzeźwy, energiczny i znający kulisy polityki, ma wszelkie kwalifikacye na tak dostojne stanowisko, na które go powołano.

Za to pogłoski o ofiarowaniu jednemu z Polaków wiceprezesury Dumy, nie sprawdziły się. Były to zresztą w pewnym celu puszczane fantazye, a jedynem pismem rosyjskiem, co tę myśl poruszyło, były „Birżewyja Wiedomosti“, redagowane przez p. Stanisława Proppera, brata zmarłego adwokata krakowskiego. Podobno i wśród kadetów ktoś o tem wspomniał, ale nie znalazł poparcia. Sami kadeci musieli zadowolić się tem, że członek ich Gołowin został prezesem Dumy; naprożno chcieli obsadzić „swoim“ jeden z foteli wiceprezesowskich — nie dopuszczono ich do tego. Zresztą Polacy godności tej, choćby im ją ofiarowywano, przyjąć nie mogli, boby to krępowało ich działalność, boby to było niejako usankcyonowaniem istniejących stosunków. Koło polskie musi być opozycyjne nawet względem samej Dumy, dopóki ta nie uszanuje jego dążności autonomicznych. Musimy silnie bronić zasady naszej odrębności, musimy silnie zaznaczyć, że jesteśmy polską delegacyą w rosyjskiej Dumie.

Z Wielkopolski nadchodzi wieść, która z natury rzeczy powinna być przyjętą radośnie. Oto rząd pruski wyrzekł się podobno myśli posadzenia Niemca na katedrze arcybiskupiej gnieźnieńsko-poznańskiej. Radość tę jednak mąci fakt, że odbywa się po cichu licytacya lojalności między dwoma dostojnikami kościelnymi, biskupem Likowskim i ks. kan. Jażdżewskim. Przypomina nam to czasy obsadzenia katedry arcybiskupiej po ks. Dinderze. Wtedy ks. Jażdżewski był najpopularniejszą postacią kleru wielkopolskiego, gdyż z odwagą stanął w parlamencie w obronie praw narodowych — natomiast ks. Stablewski zadął w dudkę ugodową i on, nie Jażdżewski, został arcybiskupem. Niedawne zachowanie się ks. Jażdżewskiego dowiodło, że „skorzystał z nauki“ — stracił popularność, nie został wybrany do parlamentu, ale za to jest kandydatem na arcybiskupa. Biskup Likowski również lojalność swą zaznaczył. Który z nich dalej poszedł w tym kierunku, dowiemy się z nominacyi. Ale to, niestety, nie dobrze wróży. Wprawdzie ks. Stablewski zostawił dobrą pamięć po sobie, ale zasłużył na nią dopiero w ostatnich chwilach życia. Zbyt długo musiało się czekać, zanim starł ze siebie pokost zbyt lojalnego poddanego Jego Oratorskiej Mości.

U nas w Galicyi sprawa rusińska, wskutek wystąpienia na „drogę czynów“ panów hajdamaków, wciąż stoi na pierwszym planie dyskusyi publicznej. Trudno zaprzeczyć, że wyrzucenie tych hajdamaków z uniwersytetu przez młodzież polską, nie oddało nam przysługi. Pojmujemy zupełnie o burzenie naszej młodzieży, którą władze uniwersyteckie nie uwolniły od towarzystwa tej dziczy, rozumiemy, że jej uczęszczanie na wykłady było prowokacyą, może być, że sami, gdybyśmy byli młodzi, nie zdołalibyśmy ująć w wędzidła swej krewkości, gotowiśmy najzupełniej rozgrzeszyć naszą młodzież za jej postąpienie, możemy nawet cieszyć się, że trzeźwość u młodzieży nie bierze góry nad uczuciem — ale mimo to wszystko wolelibyśmy, aby tego nie było. Bądź co bądź, dostarczyliśmy pewnej broni naszym „najserdeczniejszym“. Nie idzie nam naturalnie o tych najserdeczniejszych, ale o opinię tej reszty Europy, która o sprawach naszych ma takie pojęcie, jak ślepy o kolorach. Słyszała ona o gwałcie Rusinów, słyszy teraz o gwałcie Polaków, a zbyt jest nieuświadomiona, aby umiała odróżnić napad bandycki od samoobrony. I tak zanadto ona wierzy wierutnym bajkom o prześladowaniu Rusinów w Galicyi, aby jej dostarczać jeszcze rzekomych na to dowodów.

Do pomyślnych objawów w naszej prowincyi należy zaliczyć uchwalone przez Sejm powiększenie kompetencyi naszej Rady szkolnej. Jest to pierwszy od wielu lat krok w kierunku rozszerzenia autonomii galicyjskiej. Przez 30 lat na tem polu nic się prawie nie zrobiło — dobrze więc, że nareszcie się ocknęliśmy i wprowadzamy choć drobną poprawkę w stosunku kraju do rządu centralnego.

W Warszawie ustała nieco walka na noże... partyjne, w której to walce niepotrzebnie z wielką lekkomyślnością, wzięło udział galicyjskie dziennikarstwo, otwierając swe łamy fałszom rozszerzanym przez korespondentów z „pod ciemnej gwiazdy“. Jeżeli kiedy, to obecnie patryotyzm wskazywałby nie dopuszczać do głosu byle mąciwodów, którzy swoje rachunki warszawskie pragną regulować na szpaltach pism naszych; jeżeli kiedy, to teraz należałoby się postarać o korespondencye, pisane przez ludzi wytrawnych, niedających się unosić namiętnością, niesprzedających swych piór politycznym intrygantom.

Dowodem polepszenia się stosunków w Warszawie jest i upadek wieców „etycznych“, małżeńskich itd., które stały się istną propagandą wolnej miłości i zgorszenia młodzieży. Natomiast co chwila prawie powstają nowe stowarzyszenia i instytucye mające na celu oświatę i naukę. W ubiegłym tygodniu zatwierdzono statuty warszawskiego Towarzystwa naukowego, które będzie się dzielić na 3 sekcye (wydziały). Pierwsza sekcya połączy pracowników na polu języka i literatury, druga obejmie nauki społeczne, antropologię, historyę i filozofię, trzecia nauki matematyczne i przyrodnicze.

Nowa instytucya wejdzie naturalnie w związki z podobnemi instytucyami polskiemi i europejskiemi. A może nawet nawiąże stosunki i... z Japonią, bo jest nadzieja, że język japoński stanie się dostępniejszym dla Europejczyków, dzięki reformie pisma japońskiego. Rząd mikada postanowił wprowadzić alfabet łaciński, czem znowu dowiódł, że prędzej postępuje na drodze cywilizacyi, niż niektóre państwa i narody europejskie, które się chcą odgrodzić od świata nawet na polu alfabetu. Cesarz Wilhelm o takich narodach musiał słyszeć zapewne.

Kiedy wspomniałem o cesarzu Wilhelmie, należy słówko poświęcić królowej Wilhelminie. Ta niderlandzka monarchini doczekała się nareszcie jakiej pociechy ze swojego meklemburskiego małżonka. Szeroko i długo opisywano przed paru laty jaki to miły ptaszek, jaki to gbur jaki to poprostu „Prusak.“ Ale i w nim „zbudziło się serce“ i wysłał swą osobę do ratowania tonących na statku „Berlin“. To mu należy pochwalić, ale nie należy tego przeceniać. Tymczasem czynem tym okupił on całą przeszłość. Całe dziennikarstwo (i polskie także — a jakże) zachwyca się księciem małżonkiem. Wszystkie illustracye przynoszą jego portrety, poeci piszą na cześć jego hymny. Jak to łatwo zostać wielkim człowiekiem, jeśli się jest księciem i Niemcem w dodatku.

Z Holandyi do Anglii nie daleko, a więc można wspomnieć, że w Londynie zawiązał się klub mężczyzn dla popierania praw wyborczych kobiet. Jedni twierdzą, że do tego klubu należą sami pantoflarze, inni natomiast dowodzą, że składa on się z nieprzyjaciół kobiet, którzy pragną na drodze równouprawnienia obalić dzisiejsze przywileje i dominujące stanowisko płci pięknej.

W Warszawie, nawiasem mówiąc, istnieje już nietylko zupełne równouprawnienie płci, ale jej całkowite pomieszanie. Na wiecu „córek“ przemawiali panowie: Michalski, Hinko, Kreczmer i Wasserzug. I ktoby przed niedawnym czasem pomyślał, że ci panowie są „córkami“, a więc płcią piękną! Ale w dzisiejszych czasach wszystko jest możliwe, tak zamiana płci jak bomby na... kawior. Doświadczył tego ks. Postawka w Paryżu, który znalazłszy w odebranej posyłce pocztowej podejrzane pudełko blaszane, odesłał je do laboratorium gdzie z należytą ostrożnością otworzono bombę i znaleziono w niej kawior. Oby w nadchodzącym postnym Wielkim Tygodniu każdemu z nas taką bombę nieznany filantrop nadesłać raczył!

Kącik humorystyczny.

Cierpliwy.

Służący z zakładu pogrzebowego, otrzymał polecenie, by zaniósł trumnę do pewnego domu, dla zmarłego przed kilku godzinami pewnego urzędnika.

Łapiduch, przyszedłszy na miejsce, pomylił się i zamiast na pierwsze, wlazł na drugie piętro do pomieszkania, gdzie dziwnym trafem leżał właśnie w łóżku po ciężkiej chorobie w rekonwalescencyi, pewien urzędnik kolejowy, kawaler. Posługaczka przerażona widokiem trumny, zapomniała w pierwszej chwili zupełnie języka w gębie i na zapytanie łapiducha, gdzie tu leży ten pan, wskazała mu drzwi do pokoju — dokąd też zaraz łapiduch wsunął się z trumną.

Naturalnie, można sobie wyobrazić okropne przerażenie chorego — siada więc na łóżku i rozpaczliwym, drżącym z przestrachu głosem, zaczyna tłómaczyć łapiduchowi:

— Ależ panie drogi, przecież ja jeszcze nie... nie umarłem.

— Nic nie szkodzi — odpowiada z flegmą łapiduch — ja poczekam!...

Dla chleba.

Klasycznym narodem, dostarczającym na cały świat modeli dla malarzy i rzeźbiarzy, są Włosi. Czy w przedsionku paryskiej szkoły Sztuk pię-



Dla chleba: Jeden z najwybitniejszych modeli rzymskich pozujący artystom-malarzom i rzeźbiarzom do postaci Jezusa Chrystusa.

knych, czy też w Akademii monachijskiej, wiedeńskiej lub berlińskiej, albo drezdeńskiej — wszędzie napotkać można całe rodziny Włochów, wyczekujące na artystów, którzy używają ich za modeli. Oczywiście, w samych Włoszech zarobek tego rodzaju uprawiany jest na wielką skalę. Wyrabiają się tam „specyaliści“ do pewnego rodzaju typów, przez artystów najwięcej zapotrzebowanych.

W dzisiejszym numerze podajemy interesujące podobizny takich „specyalistów“. Jedna z nich przedstawia modela, który rzymskim artystom pozuje do postaci Jezusa Chrystusa, druga — tegoż modela w codziennem ubraniu, trzecia zaś — modelkę, z której artyści biorą wzory do Madonny.

Nie jest ona wprawdzie tak piękna, jak owa Fornarina, która była natchnieniem Rafaela Sanzio, jednakże służyć może za dobry model, posiadając wrodzoną wszystkim Włoszkom elegancyę ruchów i ekspresyę twarzy, obdarzonej parą wielce wymownych oczu.

Sam model nie stanowi jeszcze obrazu — nie ulega jednak kwestyi, że w krajach, gdzie się znajdują pod ręką odpowiednie indywidua, mogące z dobrym skutkiem pozować do obrazów o treści religijnej, produkcya artystyczna musi być wybitniejszą, niż tam, gdzie tych warunków nie ma. Dla chleba nieruchomiają się malowniczo ubrani mieszkańcy Toskany, Romanii i okolic Neapolu, lecz przy tem zarabiają bardzo ładne pieniądze, których nie dałaby im najcięższa nawet praca w ich pięknej, lecz ubogiej ojczyźnie.

Mistrz Diez.

Monachium, które to miasto tak chętnie nazywają „Atenami nad Izarą“, odegrało wybitną rolę nietylko w rozwoju sztuki niemieckiej. Już w latach pięćdziesiątych, gdy malarstwo polskie zaczęto się budzić do życia, nastała wędrówka polskich artystów do słynnej Akademii monachijskiej. Dość wspomnieć nazwiska: Matejki, Streita, Siemiradzkiego, Brandta, Stachiewicza, Grocholskiego, Wodzinowskiego, Wankiego itd, którzy wszyscy uzupełniali swe studya artystyczne w stolicy Bawaryi.

Wśród profesorów Akademii monachijskiej jedno z najwybitniejszych miejsc zajmował profesor Wilhelm Diez, którego podobiznę podajemy w dzisiejszym numerze, a przez którego „atelier“ przeszło wielu malarzy Polaków, korzystając z jego zdrowego realizmu w malarstwie.

Diez, Bawarczyk czystej krwi, pochodził bowiem z Bayreuth, rozpoczął swą karyerę artystyczną illustracyami do Szyllerowskiej „Historyi wojny trzydziestoletniej“. Równocześnie zaś był rysownikiem słynnych monachijskich „Fliegende Blätter“. Później zostawszy profesorem Akademii Sztuk pięknych, której poprzednio był uczniem, namalował



Dla chleba: Znakomity model rzymski w codziennym stroju.

mnóstwo obrazów rodzajowych opartych przeważnie na tematach z XVII wieku.

Zmarły artysta był równie tęgim w olejnem malowaniu, jak i w akwarelli, a cieszył się wielką sympatyą swych uczniów bez różnicy narodowości. To też we wdzięcznej pamięci zachowają wspomnienie o zmarłym mistrzu także uczniowie jego Polacy, których tylu wybiło się pod nim na tęgich artystów



Złote wesele: Franciszek i Agnieszka Goławieccy, szanowani obywatele zatorscy.

(Do artykułu zamieszczonego na stronie 10).

Reprezentacya polska w Dumie.

Przedstawicielstwo polskie w rosyjskiej Dumie ukształtowało się w tych dniach ostatecznie, tworząc dwie oddzielne wprawdzie grupy, lecz połą-



Dla chleba: Modelka rzymska, pozująca artystom-malarzom i rzeźbiarzom do postaci Madonny.

czone zasadą solidarnego postępowania na zewnątrz. W Kole koronnem obrani zostali na prezesa poseł Roman Dmowski, wiceprezesa Jan Harusewicz, sekretarza Franciszek Nowodworski. Koło posłów polskich z Litwy i Rusi wybrało na prezesa Michała Węsławskiego, na wiceprezesa Leona hr. Łubieńskiego, sekretarza Henryka Dymszę.

Dawne Koło terytoryalne przeobraziło się pod każdym względem. Odpadła nietylko nazwa, ale i samo jej pojęcie terytoryalności, otwierające drzwi dla posłów nie Polaków i Koło ukonstytuowało się jako Koło Polaków z Litwy i Rusi. Przyjęto zasadę solidarnego występowania na zewnątrz razem z Kołem Polskiem z Królestwa. Kombinacya obecna podnosi siłę liczebną przedstawicielstwa polskiego do 47 posłów, co przy rozdrobnieniu stronnictw rosyjskich robi z niego czynnik, mogący nieraz zaważyć na szali wypadków.

Koło Polskie z Królestwa wprowadziło również doniosłe ulepszenia swej organizacyi. Społeczeństwo nasze oczekuje od swych przedstawicieli w Dumie pożytecznej dla kraju działalności — o ile naturalnie pozwoli na to trwałość istnienia drugiego parlamentu rosyjskiego.

To też przed odjazdem żegnano wszędzie naszych posłów życzeniami gorącemi. Z Warszawy odjeżdżało naraz kilkunastu posłów z Królestwa, między tymi i reprezentanci stolicy: Dmowski i Nowodworski.

* * *

Chwile żegnania posłów naszych na dworcu petersburskim w Warszawie uwieczniono na płytach fotograficznych, a reprodukcye tych zdjęć zamieszczamy właśnie w dzisiejszym numerze.

Wiecomania warszawska.

Do całego szeregu plag, trapiących od paru lat społeczeństwo warszawskie, przybyła w ostatnich czasach nowa i osobliwa. Jest nią mania



Mistrz Diez. Zmarły w Monachium sławny malarz Wilhelm Diez.

wiecowania, przybierająca coraz większe rozmiary i szerząca w umysłach młodzieży spustoszenia groźne. Łatwo ten objaw zrozumieć. Społeczeństwo tak długo krępowane na każdym kroku w najniewinniejszych nawet objawach swego życia, skorzystało skwapliwie z pierwszej chwili, chociaż względnej tylko swobody, aby na wszelki sposób wyzyskać możność wypowiedzenia publicznego swych potrzeb, żądań, myśli i uczuć. Ale jak zwykle, tak i w tym wypadku, przerzuciliśmy się z jednej krańcowości w drugą i miejsce dawnego skrępowania słowa zajęło gorszące jego wyuzdanie. Wiece odbywające się zwykle w sali Filharmonii warszawskiej, stanowią przeważnie źródło publicznego zgorszenia.

Kwestye drażliwe, zwłaszcza dotyczące stosunków płciowych, omawiane bywają i gdzieindziej na zebraniach. Ale nawet w krajach cieszących się najliberalniejszą ustawą, dostęp do tych zebrań jest wzbroniony osobom nieletnim. U nas kilkunastoletnie panienki i uczniowie szkół średnich stanowią główny kontyngent uczestników na wiecach, na których z cyniczną otwartością bez żadnych osłonek traktowane są najdrażliwsze tematy. Kto zaś widział, z jaką chciwością młodzież ta obojej płci pochłania każde słowo prelegentów i prelegentek, ten łatwo zrozumie, jakie spustoszenia wywołać musi ta przewrotna i gorsząca propaganda. „Wypełzły — pisze niepodejrzany chyba o nadmierny purytanizm, bo hołdujący zapatrywaniom socyalistycznym „Przegląd społeczny“ — chmury całe karyerowiczów, szarlatanów, maniaków, komedyantów i histeryczek; każdy swą pieczeń do ognia przystawia, każdy zachwala swój specyfik, nawołuje do swego kramiku, skacze na linie i każe się podziwiać. Całe grafomaństwo wszelakich reformatorów i moralizatorów, nowelistek i feministek, które było do niedawna plagą tylko warszawskich redakcyj, rozlało się teraz w potokach słów w dziesiątkach stowarzyszeń i wieców“.

Ruch ten zatacza zresztą kręgi coraz szersze. Niezależnie więc od t. zw. wieców matek, na których bez udziału matek omawiane bywają t. zw. etyczne kwestye, odbywają się obecnie wiece „oświatowe“, zorganizowane przez Tow. odczytów dla analfabetów dorosłych.

Niestety, z prawdziwą oświatą nie ma cały ten ruch nic wspólnego. Z bardzo nielicznemi wyjątkami odczyty nietylko spreparowane są „ad hoc“ w duchu „postępowym“, ale grzeszą także wołającą o pomstę nieudolnością. Prawdziwe popisy „maniaków i histeryczek“, działające jednak zaraźliwie na młode, bezkrytyczne umysły swych słuchaczek i słuchaczów — i tem samem nadzwyczaj szkodliwe.

Rozumie się, że publiczność, chciwa skandalu, tłumnie ciśnie się na te wiece. Dość powiedzieć, że bilety na t. zw. wiece matek, czy wiece „etyczne“ na kilka już dni przed „widowiskiem“ bywają rozchwytywane.

Kiedy skończy się ta plaga, siejąca zepsucie i zgorszenie, zatruwająca do reszty młode nasze pokolenie?

Być może, że jest to przemijająca tylko epidemia, jedna z tych modnych chorób, które zjawiają się kiedy niekiedy we wszystkich społeczeństwach i kończą się, gdy minie ich pora.

Dopóki zaś wiecomania warszawska jest jeszcze aktualną, illustrujemy ją w naszem piśmie, załączając udatne zdjęcie jednego z ostatnich wieców w sali Filharmonii.

Sokół lwowski światowym atletą.

Polskie Sokolstwo, pomijając inne jego zasługi, ma i tę także zasługę, że pobudziło do czynu naszą drzemiącą siłę fizyczną. Dziś, gdy w walce ciężkiej o byt siła fizyczna odgrywa pierwszorzędną rolę, tacy Pytlasińscy, Cyganiewicze etc. zasługują się nieźle krajowi — oczywiście, jeżeli starają się nabyte doświadczenie rozszerzać, popularyzować wśród młodego pokolenia naszego społeczeństwa.

Już niejeden tęgi atleta wyszedł z szeregów naszego Sokolstwa. Teraz powiększa ich liczbę Stanisław Makarewicz, którego portret podajemy w dzisiejszym numerze, Lwowianin z rodu, niegdyś członek Sokoła— Macierzy w Lwim Grodzie, a obecnie produkujący się w cyrku Beketowa pokolei w Wiedniu w Hamburgu, Bukareszcie itd.

Wnioskując z tego portretu, można sobie wyobrazić, że Makarewicz należy do tych „ciężkich“ siłaczy, których typem jest Cyganiewicz, a którzy przy zmaganiach się na arenach cyrkowych stano-



Fot. Cz. Kulewski.

Reprezentacya polska w Dumie: Grupa posłów z Królestwa Polskiego w chwili odjazdu z dworca petersburskiego w Warszawie.

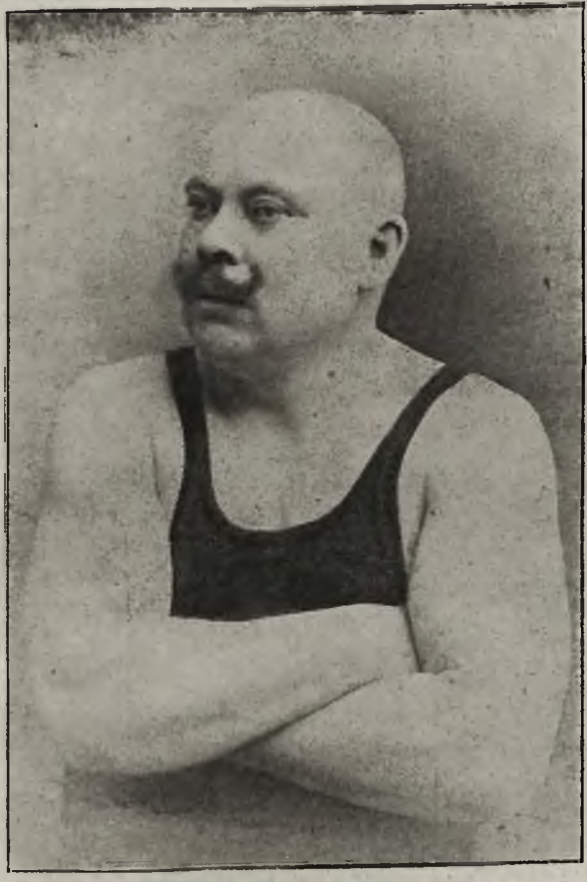


Reprezentacya polska w Dumie: Pożegnanie posłów odjeżdżających z Warszawy.



Reprezentacya polska w Dumie: Odjazd posłów z Warszawy do Petersburga.

wią tak trudnych do pokonania przeciwników ze względu na wagę swego olbrzymiego ciała. Oglądając te wspaniałe mięśnie, wydaje się, że nawet słynni zapaśnicy greccy i rzymscy nie mogli dochodzić do większego wyrobienia muskularnego.



Sokół lwowski światowym atletą: Stan. Makarewicz.

Młody laureat.

Zamieszczamy dziś portret niezwykle charakterystyczny. Twarz zajmująca tego młodego człowieka zdradza na pierwszy rzut oka poetę. Jest to istotnie pełen talentu literat, którego utwory w pismach warszawskich zwróciły na siebie uwagę w ostatnich czasach niejednokrotnie.

Nazwisko młodego poety: Bolesław Herbaczewski.

Świeżo zdobył on sobie nagrodę za sztukę jednoaktową na konkursie dramatycznym we Lwowie, jednocześnie z Zygmuntem Przybylskim, którego sylwetkę z tej okazyi dawaliśmy przed paru tygodniami.

P. Herbaczewski niewątpliwie nie da długo czekać publiczności na nową sztukę całowieczorową, w której talent jego dramatopisarski da się szerzej i głośniej poznać — aniżeli w drobiazgu scenicznym pt: „Ostatni kosz“, premiowanym na konkursie dla scen amatorskich.

Tu dodać jeszcze należy, że młody laureat jest wybitnym działaczem litewskim.

Z muzyki.

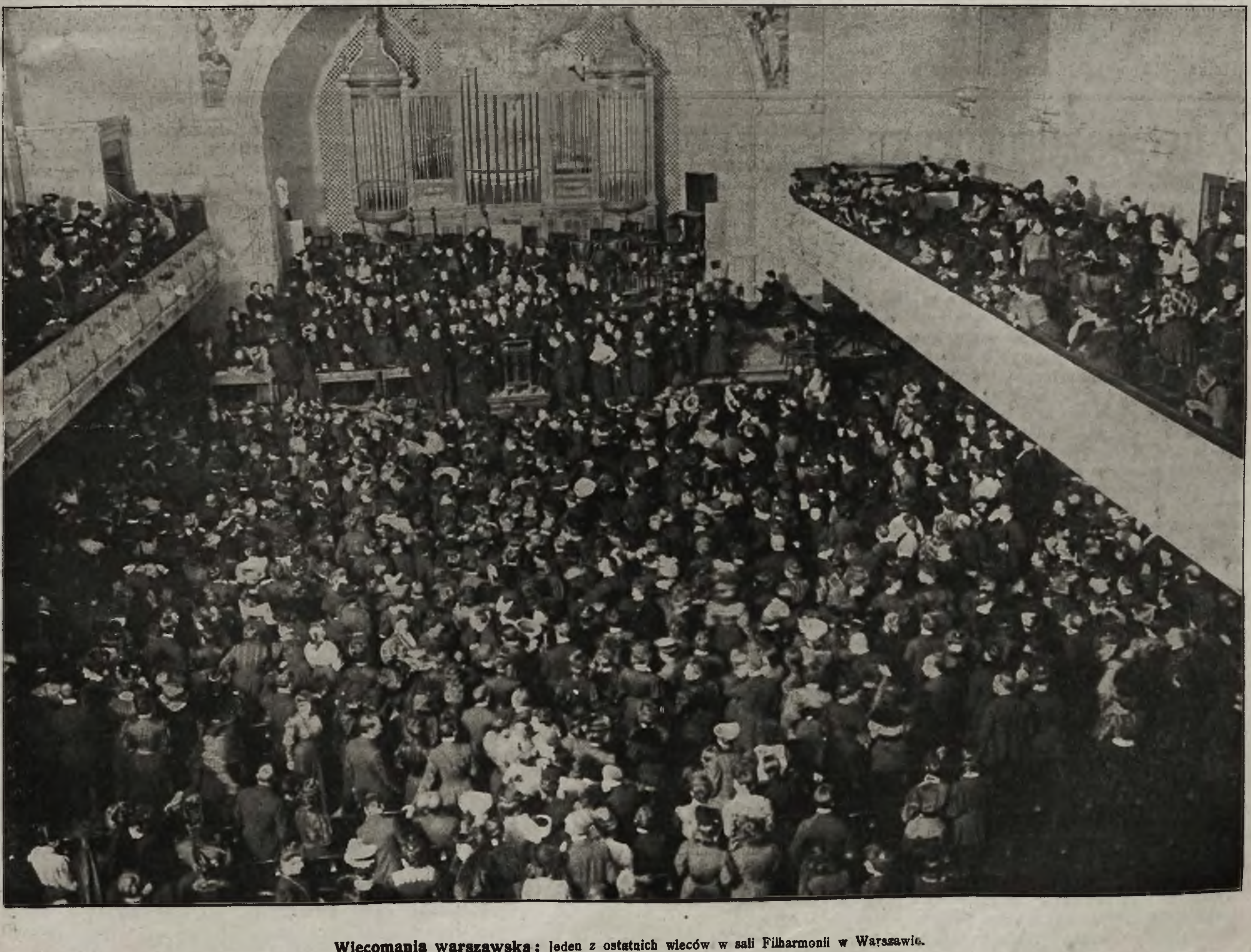
Mimo znacznych ilości produkcyj muzycznych, przeważnie wirtuozowskich popisów, wielkiem powodzeniem cieszyły się dwa koncerty urządzone przez obie najpoważniejsze krakowskie instytucye: „Towarzystwo Muzyczne“ i „Lutnię“. Na wysoce interesującym programie „Towarzystwa Muzycznego“ widniały dzieła takie jak „Symfonia V. op. 64 e-mol“ Czaykowskiego, „Sonata op. 21 es-mol“ Paderewskiego, oraz pełne niestarzejących się piękności „Sonety Krymskie“ Moniuszki. — Wykonawcami programu były chóry „Towarzystwa Muzycznego“ i orkiestra, a nadto prof. Jerzy Lalewicz, który „Sonatę“ Paderewskiego starał się przedstawić, w przepysznem wykonaniu, z jak najlepszej strony. P. Lalewicz jest artystą niepoślednim a najszerszym sferom muzycznym Krakowa zaszczytnie i sympatycznie znanym, to też współudział jego w koncercie „Towarzystwa Muzycznego“ był prawdziwą atrakcyą, niemałą okrasą tegoż koncertu. — Chóry i orkiestra „Towarzystwa Muzycznego“ spisały się dzielnie.

Koncert „Lutni“ zgromadził w sali starego



Młody laureat: Działacz litewski, poeta Bolesław Herbaczewski, autor premiowanej komedyi »Ostatni kosz«.

Teatru bardzo liczną publiczność. Sympatyczne to, bo pracowite Towarzystwo zaprodukowało „Kan-



Wiecomania warszawska: Jeden z ostatnich wieców w sali Filharmonii w Warszawie.

tatę“ Żeleńskiego, napisaną przed laty na jubileusz Kraszewskiego, rzecz muzycznie bardzo interesująca, zarówno ze względu na budowę, jak i wielką melodyjność. Kantatę odśpiewano przy współudziale wybornej orkiestry p. Hocka, a od-



Z muzyki: Marya Naimska, wiolinistka.

śpiewano bardzo poprawnie i muzykalnie. — Na wszelkie słowa uznania zasłużyły wszelkie produkcye chóru a capela, swiadczące najpochlebniej zarówno o „Lutnistach“, jak niemniej o ich przewodniku. W koncercie wystąpił również p. Kozłowski, pięknym materyałem uposażony uczeń prof. Marsa, który śpiewał ustępy z oper Wagnera przy akompaniamencie orkiestry. Dla miłośników popisów solowych zaprosiła „Lutnia“ do współudziału w koncercie, dwie artystki, za granicą znane i cieszące się uznaniem obcej krytyki, panny Zofię i Maryę Naimskie, pianistkę i wiolinistkę. (Podobizny obu podajemy). Występ tych artystek przyjęła publiczność nader życzliwie, darząc zarówno jedną jak i drugą nader żywymi i gorącymi oklaskami. Pianistka, p. Zofia Naimska przedstawiła się jako artystka myśląca, rozporządzająca pięknie wyrobioną i ustaloną, a równą i pewną techniką — a odczuwająca piękno w muzyce subtelnie, a zarazem indywidualnie. Zgrabne, jędrne uderzenie w instrument, cechujące wszystkich, którzy odbywali studya u Leszetyckiego, a posiada u p. Naimskiej odrębny wdzięk i siłę, użytą zawsze z estetyczną i artystyczną miarą.

Również p. Marya Naimska wiolinistka, wywarła nader miłe wrażenie, zarówno ujmującem, pełnem dystynkcyi, tudzież swobody wzięciem się na estradzie, jako też niepoślednim talentem, przedstawiając go jak najkorzystniej w zagranym pięknie, tudzież z ogniem, „Mazurku“ Wieniawskiego, a także i w znanej ogólnie, a tak lubianej „Air“ Bacha. Szkoda, iż obie artystki występując w koncercie „Lutni“ przygodnie tylko, nie mogły przedstawić się wszechstronniej.

Ostatnią produkcyą muzyczną w ubiegłym tygodniu był koncert znakomitego pianisty prof. Józefa Śliwińskiego, produkcya, która dla muzycznych, a także dla dystyngowanych sfer Krakowa była prawdziwą ucztą duchową. Świetnie usposobiony artysta wywarł wielkie wrażenie prze-



Z muzyki: Zofia Naimska, pianistka.

pysznie zagraną „Sonatą“ op. 35 Chopina, wzruszając do łez słuchaczy cudnie oddanym „Marszem żałobnym“, a nadto także i kilku innymi utworami nieśmiertelnego Chopina. *—urs.—*

Z lwowskiego bruku.

(Dramat miłosny w Hotelu warszawskim, czyli miłość hreczkosieja i jej przebieg. — Niesensacyjna defraudacya. — Sensacye wiecowe i metamorfoza polityczna. — Centrowcy kupili we Lwowie dziennik. — Pani Bednarzewska we Lwowie. — Ansambl damski. — P. Michalski jako rzeszoto. — Fałszywa moneta zabrana na podatki.)

Jedyną prawdziwą sensacyą, jaką zapisać można z nudnej kroniki ubiegłego tygodnia jest dramat miłosny, a raczej bójka miłosna w Hotelu warszawskim, dramat, którego bohaterem jest jakiś hreczkosiej z prowincyi, a bohaterką jedna z artystek teatru tutejszego. Taki hreczkosiej z prowincyi kocha się wprawdzie tak, jak każdy inny śmiertelnik, ale postępuje w miłości po swojemu. Gdy Magda, Kaśka lub Maryna nie chce dać folgi jego afektom, to po prostu daje jej w zęby i ona to od razu rozumie. A gdyby i taki argument nie poskutkował, to woła swego ekonoma i dwóch parobków, każe parobkom dziewczynę wyciągnąć na podłodze, ekonom szpicrutą wymierza sprawiedliwość a sam pan liczy. Liczy tak do dwudziestu pięciu, albo i więcej, a potem mówi: halt! O ile pan ekonom „nie zapomniał się“ i od siebie nie dodał kilku ciegów opornej dziewczynie, kończy się na tem wymiar sprawiedliwości, a ta kara albo skutkuje u ukaranej, albo przynajmniej działa na inne jej koleżanki i jest dla nich cennym drogowskazem na przyszłość.

Tak samo, albo przynajmniej prawie tak samo, próbował się urządzić nasz bohater i w tym wyjątkowym wypadku miejskiej miłości. Chciał po prostu przeszczepić wiejski sposób kochania na grunt miejski i nauczyć ludzi kochać praktycznie. Jak długo łgał dziewczynie, że jest bogatym kawalerem i ożenić się z nią zamierza, a ona mu wierzyła, szło wszystko gładko, jakby wóz „szmirem“ smarowany. Ale gdy kolega artystki otworzył jej oczy, wskazując na blagi rozamorowanego chrunia, gdy ją przekonał, że ten bogaty kawaler jest właściwie zadłużonym żonkosiem z kupą dzieci w domu, a okłamana dulcynea odtrąciła pana „dziedzica“, wpadł pan dziedzic w arcyszewską metapasyę i postanowił zemścić się i na niej i na jej koleżeńskim opiekunie. W tym celu wybrał się ze swoim ekonomem na zemstę do Lwowa. Podzielił się akcyą wojenną z ekonomem i powierzając jemu „oporządzenie“ niewiernej artystki, sam zostawił sobie trudniejszy referat rozbicia głowy doradcy i koledze artystki. Plan udał się doskonale. Ekonom poharatał biedną aktorkę aż do zemdlenia, pan dziedzic rozbił głowę jej koledze i obu bohaterom udało się zbiedz, zanim można ich było oddać w ręce policyi. Wszystko więc poszło gładko, jak na wsi, tylko sam koniec będzie trochę inny. Mianowicie trzeba będzie teraz pójść do kryminału za ciężkie pobicie dwojga ludzi. Pan dziedzic tego nie spodziewał się i dziwi go bardzo to wtrącanie się władz do jego prywatnych spraw sercowych. Cieszy go jednak przynajmniej, że mu się udało wykonać zemstę. Niech wie świat, jak kocha hreczkosiej.

Defraudacyi w jednym z banków lwowskich na głupich 50 000 kor. nie zaliczam do sensacyj, bo popełnił ją, jak zwykle w ostatnich czasach, umysłowo chory. Sensacyą byłaby ta defraudacya gdyby sprawca przyznał, że popełnił czyn przy zdrowych zmysłach. Słychać, że obecnie do wszystkich większych banków przyjmować będą tylko takich urzędników na kasyerów, którzy przedłożą świadectwo lekarskie, że są zdrowi umysłowo i zobowiążą się słowem honoru, że nie zwaryują w czasie urzędowania. Autor ostatniej defraudacyi leczy się obecnie w jednym z zakładów dla obłąkanych, gdzie umieściła go rodzina w obawie, ażeby prokuratorya państwa nie zajęła się jego kuracyą.

Bardzo wiele obiecywałem sobie z wiecu studentek, który miał odbyć się ubiegłej niedzieli, a który niestety musiano odłożyć — jak powiada komunikat — z powodu zajść uniwersyteckich. Za to ubiegła niedziela obfitowała w inne sensacye wiecowe, a w pierwszym rzędzie należy tu metamorfoza wiecowa na wiecu kolejarzy. Zwołali ten wiec wszechpolacy a odbyli go i przeparli swoje rezolucye socyaliści tutejsi, wyparłszy zwołujących z sali. Nie brakło podobno policzków i szturkańców, co jednak należy uważać tylko za przedsmak wyborczych dramatów a nie broń Boże za jakąś tam obrazę honoru, kwalifikującą się do załatwienia w drodze pojedynku.

Wreszcie jeszcze dwie sensacye. Jedna w dziennikarstwie, druga w teatrze. Centrum katolickie odkupiło podobno jeden z popularnych dzienników lwowskich, ażeby go użyć do zbliżającej się kampanii wyborczej a cała opinia „pisząca i czytająca“ nie prorokuje centrowcom powodzenia we Lwowie, choćby sam ks. Stojałowski zasiadł za stolikiem redakcyjnym nowo zakupionego dziennika i rozpalił swój knot z lampy jerozolimskiej, aby oświecić ogół ciemnych dotąd wyborców.

Sensacyą teatralną jest zaangażowanie na naszą scenę ulubienicy lwowskiej publiczności pani Konstancyi Bednarzewskiej, przez co ansambl damski teatru lwowskiego uzupełnił się świetnie i obecnie nie ma sobie równego na żadnej z polskich scen. Bednarzewska, Czaplińska, Gostyńska, Siemaszkowa, Sosnowska, Trapszo obok tylu innych, to piękny szereg gwiazd scenicznych o pierwszorzędnym blasku. Prawie nie pamiętają bywalcy teatralni tak bogatego kompletu damskiego. Z dawnego więc ansamblu brak jeszcze tylko pani Solskiej, a natomiast jest taka Sosnowska i taka Trapszo. Mówię naturalnie tylko o paniach.

Rada miejska kończy budżet, a zarazem kończą się męki prezydenta Michalskiego, któremu podczas debaty budżetowej wywiercono tyle dziur w brzuchu ile jest pozycyj w budżecie, że już wygląda biedak jak rzeszoto.

Sejm kończy wkrótce bieżącą sesyę a wytrwałość naszych posłów, którzy nie powymierali z nudów, jest godna zanotowania.

Zresztą nic ciekawego, prócz fałszywych 10-koronówek złotych, które pojawiły się w ubiegłym tygodniu i popyt na nie, zwłaszcza ze strony policyi był i jest bardzo wielki. Niestety znaleziono ich bardzo mało, bo we Lwowie nietylko prawdziwych, ale fałszywych niema pieniędzy. Wszystko zabrała administracya podatków. Nawet te fałszywe. *Kl.*

ZŁAMANA SPINKA.

Powieść na tle aktów sądowych

11. przełożył z włoskiego W. Ż. K.

Gdy wreszcie wysłani ajenci wrócili z wiadomością, że Roberto uchodzi powszechnie za poczciwego człowieka, uwolniono go od dalszego śledztwa, a policya postanowiła dociec, jakie nazwisko oznaczał monogram „C. v. P.“ Litera „v“ nasuwała stanowcze przypuszczenie, że to był szlachcic niemiecki, bo owe „v“ było niczem innem, jak skróconem „von“. Rząd włoski zwrócił się też do naczelnych władz w Berlinie i w Wiedniu z zapytaniem, czy nie poszukują przepadłego człowieka, którego nazwisko zgadzałoby się z monogramem. Już w kilka dni nadeszła urzędowa wiadomość z Wiednia, że „Carl baron von Pettko“, właściciel dóbr na Morawach, wyjechał i od dłuższego czasu żadnej o sobie nie daje wiadomości. Przypuszczają, że przepadł gdzieś w Alpach, skutkiem nieszczęśliwego wypadku, bo ostatni list jego pochodził ze Szwajcaryi.

Wskutek dalszej korespondencyi między władzami włoskiemi, a austryackiemi pokazało się, że baron w ostatnich czasach zdziwaczał, unikał ludzi, szukał samotności. Wyjeżdżał wciąż, nie zatrzymując się w domu dłużej nad dwa lub trzy dni. Wreszcie zabrał z banku deponowaną tam gotówkę swoją, w kwocie stopięćdziesięciu tysięcy koron i wyjechał, zapowiedziawszy rządcy swych dóbr, że się wybiera w długą podróż. Z początku korespondował ze swoim pełnomocnikiem, żądał raportów gospodarskich. Nagle korespondencya ustała, na listy nie odpowiadał, więc pełnomocnik doniósł o tem policyi, przewidując jakieś nieszczęście. Posłano też fotografię barona, a ta dowiodła, że ofiarą mordu na Salita Santa Nicola, padł „Carl baron von Pettko“.

Kto może być mordercą? Oczywiście, że policya wiedeńska mogła dać jakieś wskazówki. Jakoż po dochodzeniach, podjętych w dobrach barona, po przesłuchaniu krewnych ofiary, nabrano przekonania, że sprawcą morderstwa, a może i morderczynią jest żona zamordowanego.

XI.

Straszne przygnębienie.

W hotelu „Royale“ w Wenecyi biegnie przez korytarz służący Giuseppe; spotyka pokojówkę Teresę, zatrzymuje ją i szepce:

— Dzień dobry panno Tereniu.

— Nie mam czasu — odpowiada pokojówka.

— Tylko słówko. I mnie pilno Coś powiem. Ci z pod numeru 32 i 33 znowu się kłócili.

— Doprawdy?

— Jeszcze jak! aż szyby trzeszczały!

— A cóż mówili? o co się kłócili?

— Nie wiele zrozumiałem, bo kłócili się po francusku.

— Ktoby to myślał? Hm! Niby młoda para, to powinni się kochać.

— A no tak. Gdyby mnie panna Terenia zechciała, to jabym się nie kłócił, ale kochał.

— Wy wszyscy tacy. Każdy mężczyzna przed ślubem słodki, czuły, pochlebca, a po ślubie...

— Niech panna Terenia spróbuje.

— Po co tę głupstwa. Nie mam czasu.

— Jeszcze chwilkę. On hrabia, a nie po hrabsku jest z żoną.

— Niby czemu?

— E, co to gadać. Ordynarny. Może to fałszywy hrabia? O, i takich dość.

— A nam co do tego.

— Żal mi jej; ona tak uczciwie wygląda. A wciąż płacze.

Trrrrr. Trrrrr.

— Dwa razy dzwonek; to na mnie. Do widzenia panie Giuseppo.

— Do widzenia panno Tereniu. Posłał odbiegającej całusa i pognał dalej korytarzem.

Hotel „Royale“ znajduje się w starożytnym pałacu dawnych patrycyuszów, jak znaczna część innych hoteli w Wenecyi. Położenie ma śliczne. W pobliżu Piazetta, tuż prawie przy pałacu dożów, patrzy szeregiem okien na Riva degli Schiavoni. W oknie pierwszego okna stanęła Elena Luidgrode i spoglądą w dal szeroką, jak zwykle czynią smutni, przygnębieni, siląc się na rezygnacyę. A smutna, trwożna i bardziej niż smutna, bo prawie złamana na duchu. Już nawet rozpacz dobija się do jej piersi i chce ją szarpać, kąsać, ale Elena się broni, opiera rozpaczy.

Niema nic boleśniejszego, jak rozczarowanie po idealnych marzeniach, jak upokorzenie tam, gdzie się tryumfu spodziewało. A jest rozczarowaną i upokorzoną Elena po raz pierwszy w życiu.

Przeszła przez życie bez miłości, aż do chwili, gdy poznała hr. Alfonsa. Wywarł na niej wrażenie nietyle postawą i urodą, ile tem, co sobie w nim upatrzyła. Zdało się Elenie, że to człowiek nieposplitej energii, człowiek pełen męskiego hartu ducha, po rycersku dzielny i stanowczy. Uśmiechał się jej także tytuł hrabiny, ale nie decydował, boć wtedy baronową już była. Hołdów była syta i zysków ze swej piękności zebrała dosyć, teraz miłości pragnęła za miłość. Conte Alfonso nasunął się jej w Paryżu, gdy tam przybyła z dzieckiem, opuściwszy dom męża i wnet zaczęła się ta miłość pierwsza, niemal wulkaniczna. Stała się niewolnicą swej namiętności, stała się jej ofiarą. Ona, co przerzucała wielbicielami jak bawidełkiem, co ich zmieniała dla kaprysu, pewna siebie, pewna potęgi swych wdzięków, zawsze zwycięzka i zdobywcza, dziś zatraciła świadomość swej woli wobec tego jednego, co ją pokonał i zdobył.

Nienawidziła męża, czuła do niego żal wielki; poczytywała siebie za ofiarę, męża za tyrana i prześladowcę, ale nie czyhała na jego życie, nawet byłaby z oburzeniem odparła wszelką myśl o tem, aby go usunąć, aby się od niego na zawsze uwolnić. A jednak conte Alfonso taką już władzę nad nią pozyskał, że została świadkiem mordu. Dziś targa nią sumienie, uspokoić się nie może, mimo wszelkich perswazyj hrabiego Alfonsa. Chociaż ulega mu, chociaż zostaje pod czarem namiętności, przecież ponure uczucia tak nią wstrząsają, że nie ma chwili spokojnej bodaj, jeżeli już nie jasnej, pogodnej. Dopóki przebywali w Genui, upajała się miłością, gasiła żar niepokoju w fali namiętności; teraz i tego jej brakować zaczyna.

Conte Alfonso, przybywszy do Wenecyi, zaczął bawić się swobodnie, poza towarzystwem Eleny i z tem nie ukrywał się nawet. W sposób cyniczny przechwalał się przed nią z powodzeń erotycznych. Była to dla niej wyzywająca zniewaga. Obyta w świecie, nawykła do przyzwoitych form towarzyskich nie mogła oswoić się z tą brutalnością, tego którego kochała. Zaczęło się rozczarowanie. To, co się jej wydawało męską dzielnością, energią, przedstawiło się teraz jako cynizm i wyuzdanie, to, co było w jej oczach hartem męskiego ducha, okazało się teraz bezwstydem i bezczelnością. Kończyły się złudzenia, zaczynała zazdrość i codzienna uraza. Więc nawet służba hotelowa dostrzegała kwasy, dosłuchiwała się sporów, kłótni, wybuchów gniewu.

Pewnego dnia conte Alfonso zabawiał się przez noc całą i dopiero nad ranem wrócił do hotelu. Elena zalewała się łzami, już nie zazdrosna, nie obrażona, ale wprost znieważona, upokorzona takim wybrykiem narzeczonego. Wyspał się i najspokojniej żartować zaczął z jej łez, z jej wymówek.

— Wiesz moja droga, to trudno, do tego musisz nawyknąć. Ja lubię rozmaitość. Rozmaitość jest wreszcie prawem natury.

— A gdzież twe przysięgi, twe zaklęcia?

— E, e, po cóż ta deklamacya? Czyż złamałem przysięgę przez to, że się zabawiłem? Przecież mogę ciebie kochać, a z innymi się zabawiać.

— Miłość domaga się wierności.

— Ja też pozostanę ci wiernym, nie opuszczę cię, wcale o tem nie myślę. No, ale też byłoby to bardzo nudne, gdybym wciąż gruchał przy tobie, jak zakochany student. To już do przeszłości, a i do przesądów należą te parafiańskie wyobrażenia o sielance domowego życia. Żona pończochę robi, mąż w pantoflach jej asystuje i czytają sobie biblię, albo jakieś tam inne staroświeckie szpargały. Kobieta z mężczyzną łączą się na to, aby sobie życie uprzyjemniali, a nie zatruwali.

— Czy to, co czynisz, ma być uprzyjemnieniem mego życia.

— Oczywiście. Powinnaś być dumną z tego, że twój narzeczony ma szczęście u kobiet. Czyż wolałabyś takiego niedołęgę, na któregoby żadna nie chciała nawet spojrzeć?

— To jest zbyt cyniczne!

— Ależ to tylko prawda. Wy kobiety zabijacie siebie zazdrością, a nas tylko nią rozweselacie. Istotnie podobasz mi się bardzo z tą smętno gniewną twarzyczką. Ślicznie, nawet bardzo uroczo wyglądasz.

— Żart bardzo prostacki.

— A tak? No mój gołąbku, niechże cię za to upieszczę.

Zbliżył się do Eleny, ale usunęła się od niego z niechęcią.

— Nie bądźże dzieckiem, moja ty gołąbko.

Ambicya i serce zaczęły walkę zawziętą. Obrażał ją, rozczarowała się, widząc go niższym, niż się jej wydawał, nawet zupełnie niskim. poziomym, więc nietylko obrażoną się czuła ale i zawiedzioną. Ambicya czyniła wyrzuty, ambicya potępiała go, ale serce szukało usprawiedliwienia i znachodziło je zaraz. Kochała tego człowieka, chociaż go już szanować przestała; miłości nie tłumiło jeszcze poczucia godności kobiecej. Może było za słabe, ale wspomagała je zazdrość. Ale i ona ustąpić musiała i umilknąć — zwyciężyła miłość, czy namiętność, Elena po chwili nie usuwała się od pieszczot Alfonsa.

Conte Alfonso przyrzekł poprawę, ażeby humor Eleny poprawić, zaproponował, aby zmienili mieszkanie. Zgodzili się zająć wesołe apartamenty na Lido w „Hotel des bains“, z uroczym widokiem na dalekie morze. To istotnie uspokoiła się cokolwiek, a i conte Alfons unikał wszystkiego, coby ją drażnić mogło. Ale tylko przez kilka dni używała ona uspokojenia. Po kilku dniach wraca z miasta hr. Alfonso bardzo zaniepokojony. Elena siedziała właśnie na balkonie i marzyła o tem, że może jeszcze będzie szczęśliwą, gdy Alfons wręczył jej dziennik najświeższy. W rubryce zawierającej „o statnie wiadomości“, był telegram z Genui, donoszący, że policya dociekła wreszcie, kto to padł ofiarą morderstwa na Salita Santa Nicola. Telegram podawał też w krótkości historyę owego od krycia.

Elena zbladła, zachwiała się, padła na fotel bezsilna. Za chwilę płomienie na jej twarz uderzyły, serce kołatało jakby chciało wyskoczyć z piersi. Była przerażona; oniemiała, myśli zmąciły się chaotycznie, straszne widma plątały jej się przed oczyma.

— Teraz musimy mieć się na baczności — mówił conte Alfonso siląc się na spokój. — Rzecz zaczyna być groźną. Musimy opuścić Włochy. Zdaje mi się, że byłoby najlepiej udać się do Grecyi. Zatrzymamy się tam przez kilka miesięcy, potem pojedziemy na Wschód, do Azyi. Po roku, wróciwszy z dalekiej podróży, dowiesz się z ubolewaniem o śmierci męża, ponosisz nawet żałobę po nim, a potem weźmiemy ślub i zostaniesz hrabiną Montegretto. Czy dobry plan?

— Ja się czegoś bardzo boję.

— No, nie ma jeszcze przyczyn do rozpaczy. Jeszcze nam bezpośrednio nic nie zagraża, ale musimy za kilka dni wyjechać.

— Mówiłeś mi, że masz przyjaciela, który cię ma o wszystkiem zawiadamiać, co tylko posłyszy. Nic nie pisał jeszcze?

— Być może, że list na poczcie, Prosiłem go, aby przysłał listy poste restante, który mu podałem natychmiast pójdę się dowiedzieć.

Elena pozostała trwożna, znękana i szczęściem było dla niej, że mogła wybuchnąć płaczem.

XII.

Uroczy model.

Dyrektor policyi genueńskiej otrzymał telegraficzną wiadomość, że okradziono galeryę obrazów we Florencyi, a złodziej udał się podobno do Genui. Oczywiście, iż nie wystarczyła wiadomość, że obrazy skradziono; do szukania złodzieja było potrzeba wiedzieć, w jaki sposób kradzież popełniono, a to jedynie na miejscu zbadać i ocenić było można. Dyrektor wyprawił więc Aleksandrowicza do Florencyi, aby się tą sprawą zajął. Ajent pojechał natychmiast, odbył naradę z dyrektorem galeryi, zbadał szczegółowo tę salę, z której obrazy skradziono, przesłuchał służbę i już miał opuścić galeryę, gdy mu dyrektor zwrócił uwagę na nowe dzieła współczesnych malarzy, zebrane w osobnej sali. Oczywiście, że ciekaw był je zobaczyć i z wdzięcznością skorzystał z uwag dyrektora. Przypatrywał się z uwagą i zajęciem, bo inteligencyi miał wiele, a zamiłowanie sztuki we Włoszech musi mieć każdy człowiek. Idąc od jednego obrazu do drugiego, nagle stanął jak wryty. Zobaczył mały obraz, przedstawiający obraz dziewczynki kilkuletniej. Nie mógł oczu oderwać. Wpatrywał się, jakby to malowidło było jakiemś zjawiskiem niezwykłem, niespodziewanem, a upragnionem lub oczekiwanem.

— Jak widzę, ten obraz bardzo się panu spodobał — rzekł dyrektor.

— Tak... tak.. te rysy, ta twarz, te cudne włosy, to taż sama, tak, to ona.

— Co panu się stało? — zapytał dyrektor zdumiony.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Detektyw w opałach.

Zdarzenie prawdziwe.

Nigdy nie był mr. Tom Patterson tak zajęty, jak podczas świąt Bożego Narodzenia. Co roku bowiem o tej porze robił najlepsze interesa, z wyjątkiem oczywiście tych trzech lat, które spędził pod gościnnym dachem więziennego gmachu.

W bawełnę nie obwijając, powiedzmy otwarcie: mr. Patterson był skończonym łotrem, który rozumiał swoje rzemiosło i umiał je wykonywać z rzadką zręcznością, przebiegłością, a niekiedy nawet z pewną dozą humoru. Przytem posiadał on niepospolite poczucie sprawiedliwości. Ludzie biedni, mogli się czuć wobec niego zupełnie bezpiecznymi, bo wyszukiwał ofiary tylko ze sfery obywateli bogatych, którym ewentualne straty nie dawały się tak boleśnie odczuwać.

Nie należał on wprawdzie do tych legendowych zbójców, co to zostawiali bogatą zdobycz wspaniałomyślnie — dajmy na to — aby uratować jakieś dziecko, lub też wzruszeni pięknością szlachetnej damy, zwracali jej anonimowo zrabowane klejnoty — jednakowoż nie należał do bandy owych srogich, bezlitośnych morderców, którzy z zadowoleniem przelewają krew swoich ofiar. Nakradł dosyć w swoim życiu, ale starał się przytem, aby najmniejsze stworzenie nie poniosło szkody. Krótko powiedziawszy, był to nader sympatyczny charakter naturalnie o tyle, o ile względem ludzi zawodu, jakiemu się oddawał, można się w ten sposób wyrazić.

Był wysoki i chudy, tak, że mógł niezliczone pakiety i pakieciki chować w kieszeniach swego paletota, bez zwrócenia czyjejkolwiek uwagi — a to właśnie było dlań samego nieocenioną zaletą. Przy dzisiejszym dniu wilii chciał również wykorzystać swoje specyalne zdolności.... Miał zwyczaj czytywać dzienniki, przyczem zwracał główną uwagę na zapiski z życia towarzyskiego. Dowiedział się z nich tedy, że mr. Kittridge wyda dziś bal wspaniały w dniu wilii. Lista zaproszonych gości była oczywiście wydrukowaną, a w jej nagłówku błyszczało nazwisko mr. Rafaela Screw wraz z córką, miss Adą, która prawdopodobnie pojawi się w sukni „crêpe de Chine“, różowego koloru, no i oczywiście będzie miała na sobie ów sławny naszyjnik z pereł, który wart jest pół miliona dolarów.

Znaczyło to tyle, że pałac mr. Rafaela Screw będzie dziś wieczorem zupełnie opustoszały. Mr. Tomasz Patterson wiedział bowiem dokładnie, że cała służba z chwilą, jak tylko ekwipaże państwa się oddalą, poszuka także dla siebie rozrywki. Niebezpieczeństwo zatem było niewielkie, a zarobek mógł być niezły. A więc mr. Patterson postanowił żadnego ze swych „zawodowych kolegów“ do współdziałania w tym „interesie“ nie zapraszać, lecz samemu go — o ile się da — załatwić.

O godzinie dziesiątej wśliznął się do parku, który otaczał pałac miliardera i obserwował sytuacyę przez czas pewien. Ponieważ nie było ani widać, ani słychać jakiegokolwiek ruchu, a w oknach było ciemno, wyciął jedną z wielkich szyb lustrzanych na parterze i przez nią wśliznął się do wnętrza pałacu....

Teraz znalazł się za jednym zamachem w sali jadalnej pałacu, będącego własnością rodziny Screw. Było tam w tej chwili ciemno; tylko w sąsiednim pokoju błyszczało światełko lampki żarowej. Przy tem słabem oświetleniu wspaniale uderzały oko masywne srebrne zastawy, umieszczone na olbrzymim, dębowym kredensie. To jednak trudno byłoby zabrać ze sobą; pieniądze i kosztowności były o wiele łatwiejsze do przetransportowania.

Cicho, jak kot, przesunął się przez salę. Przy drzwiach stanął, nadsłuchując, z głową naprzód wysuniętą, z ustami cokolwiek otwartemi i chciał przedostać się do przedpokoju.

Niebyło słychać najmniejszego ruchu.... panowała cisza nieprzyjemnie działająca na nerwy..... nawet żaden ścienny zegar się nie odzywał Po kilku minutach zdecydował się wejść do przedsionka, ale zaraz stanął i nadsłuchiwał.... Potem zbliżył się ostrożnie ku drzwiom, które delikatnie otworzył.

I w tym pokoju, do którego wszedł było ciemno, lecz masywne srebrne toaletowe przybory zdradzały, że to buduar miss Ady. Naturalnie, nie odważył się odkręcić guzika ze światłem elektrycznem, lecz od czegóż posiadał przy sobie kieszonkową latarkę?.... Przy jej świetle badał tam leżące skarby, aby uczynić między niemi należyty wybór. Około kwadransa spędził na tem przyjemnem zajęciu. Obszerne kieszenie już zapełnił Dwa papierki po sto dolarów, umieszczone w eleganckiej portmonetce, która leżała na marmurowej płycie toalety, schował do lewego buta.... Jeszcze jedno eleganckie pudełko z kosztownościami miss Ady spuścił do swych niezgłębionych kieszeni.

Dokonawszy tego dzieła, wrócił do sali, z której wyszedł, również cicho, jak do niej wchodził. Zamiast jednak ulotnić się przez okno, co posłużyło mu za bramę wjazdową, postanowił jeszcze obejrzeć najbliższą ubikacyę i to było jego całem nieszczęściem.

* * *

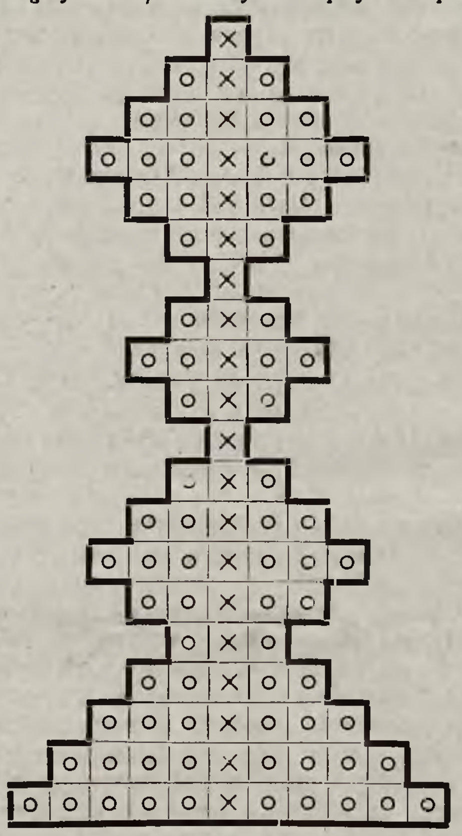
(Ciąg dalszy nastąpi.)

Zagadki do nagrody

Zagadka.

Ułożył Alfred Rotter.

Gwiazdki i krzyżyki zastąpić literami w ten sposób, aby litery wstawione w miejsce krzyżyków, czytane w pionowym kierunku z góry na dół, utworzyły znane przysłowie polskie.

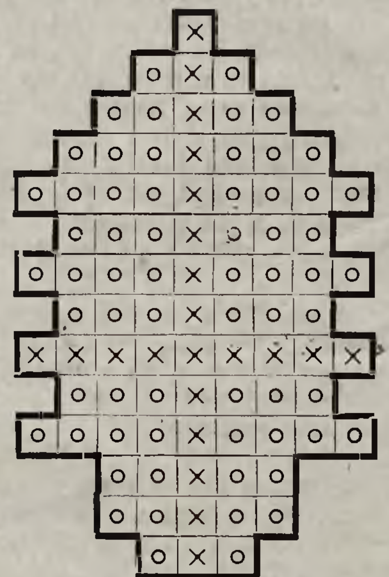


Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska. 2. Zwierzę-gad. 3. Rzeka we Francyi. 4. Imię męskie. 5. Inaczej uczta. 6. Wulkan na jednej z wysp Filipińskich. 7. Samogłoska. 8. Gatunek piwa. 9. Rzeka w Austryi. 10. Miara rumuńska do płynów 11. Spółgłoska. 12. Autor pieśni o ziemi naszej. 13. Miasto portowe w Austryi 14. Stacya kolejowa na linii Nowy Sącz-Orłów. 15. Inaczej gwałtowna burza. 16. Spływa po twarzy gdy gorąco. 17. Wychowanek szkoły wojskowej. 18. Inaczej różne jarzyny. 19. Nazwa poety polskiego 19 wieku. 20. Inaczej Królestwo Polskie.

Kryptogram.

Ułożył Alfred Rotter.

Kółka i krzyżyki zastąpić literami w ten sposób, by litery wstawione w miejsce krzyżyków czytane w pionowym kierunku z góry na dół utworzyły imię i nazwisko pisarza polskiego, a litery w 9-tym rzędzie tytuł jednego z utworów jego.



Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska. 2. Rzeka we Włoszech. 3. Miasto na francuskiej Rivierze. 4. Mieszkaniec Grenlandyi. 5. Wielkie Księstwo Niemieckie. 6. Prowincya austryacka lub hiszpańska 7. Imię kobiece. 8. Miejsce odpustowe we Francyi. 9. ? 10. Część świata. 11. Wyspa na Morzu Północnem. 12. Nazwa gór na północ od Krymu. 13. Imię królowej niedawno zmarłej. 14. Rzeka w Austryi.

Za dobre rozwiązanie zagadek przeznaczamy wspaniałą bombonierkę cukrów z cukierni Piaseckiego.

Rozwiązanie zagadek z Nr. 9.

Arytmogryf.

J, Pad, Mekka, Albania, Arpad, Era, a, Aoh, Praga, Panteon, Loara, oka, a, apo, Płat, Kazanie, Policyant, Aleksandrya.

Jaka praca, taka płaca.

Łamigłówka.

Przytulisko Dzieciątka Jezus.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp.: W. Łopaciński Lwów, A. Bocsoń Bóbrka, M. Świetlikowa Rzeszów, Towarzystwo »Zgoda« Krosno, T. Domain Kałomyja, F. Niepokój Krosno, B. Mussil Lwów, A. Trylowski Żabie, K. Ludwig Borysław, S. Gajdeczka Sieniawa, A. Klimkiewicz Stanisławów, K. Sosołowski Stanisławów, J. Sucharski Radymno, A Bogdalska Koropuż, J. Haładej Górki, A. Pukalski Andrychów, J. Jakupczyk Żeleny Kabie, A. Stadler Lwów.

Nagrodę przez wylosowanie otrzymał A. Pukalski Andrychów Prosimy o nadesłanie 35 halerzy na koszta przesyłki.

Z półek księgarskich.

Biblioteka lwowska. I *Franciszek Jaworski.* **Ratusz lwowski** Lwów 1907. Nakładem »Towarzystwa Miłośników Przeszłości Lwowa«.

Ukochanie przeszłości, podnoszenie jej świetlanych momentów daje najpiękniejsze świadectwo narodowi, który podobny kult uprawia. Jesteśmy teraz w tem szczęśliwem położeniu, że w dwu największych miastach Galicyi powstały dwa towarzystwa, co sobie postanowiły w sposób praktyczny właśnie ten kult popierać i rozszerzać za pomocą dobrze pisanych, gruntownych, a tanich wydawnictw.

Kraków, uprzedzony pod wieloma względami na korzyść Lwowa, posiada już od lat kilku »Towarzystwo miłośników zabytków Krakowa«, które to Towarzystwo wydało swoim nakładem kilkadziesiąt wielce ciekawych monografij, tyczących się przeszłości grodu podwawelskiego.

Za przykładem »macierzy« miast polskich pospieszył i Lwów, gdzie zawiązano »Towarzystwo miłośników przeszłości Lwowa«. Pierwszym owocem działalności tego młodego Towarzystwa jest książka wymieniona w tytule niniejszego artykułu. Autorem jej jest p. Jaworski, współpracownik »Kuryera Lwowskiego«, który — można śmiało powiedzieć — zdobył sobie »ostrogi« historyka, wstępując w ślady Czołowskiego i Łozińskiego.

Jakiż to barwny obraz roztacza przed umysłem czytelnika p. Jaworski, zacząwszy od XIV wieku, aż po rok 1351-szy! Widzimy tam »Praetorium« gotyckie, pamiętające czasy Kazimierza W. i Jagiełły, dalej renesansowy Ratusz, który odnowił »słynny rajca i burmistrz dr Marcin Kampian« a wreszcie dzisiejszy Ratusz jaki powstał po zbombardowaniu Lwowa w dniu 2 listopada 1848 roku przez wojsko austryackie.

W doskonale pisanem opowiadaniu p Jaworskiego przewija się jak nić czerwona ten wielki patryotyzm mieszczaństwa lwowskiego, które wiernie, stojąc przy Rzeczypospolitej, broniło przeciw Tatarom, Hajdamakom i Szwedom naszej czci, naszego narodowego sztandaru naszej wiary.

Jacy zaś to byli gorący patryoci ci mieszczanie lwowscy — o tem przekona się każdy, co przeczyta książkę p. Jaworskiego. A dziś, gdy niepowołane do tego żywioły pragnęłyby odebrać Lwowowi jego rdzennie polski charakter, taka właśnie książka — oprócz swej wartości naukowej — nosi cechę czynu patryotycznego.

Za ten czyn i »Towarzystwu«, które wydało powyższą książkę jej autorowi winne jest wdzięczność polskie społeczeństwo.

NADESŁANE.

(Za rubrykę niniejszą Redakcya nie przyjmuje odpowiedzialności).